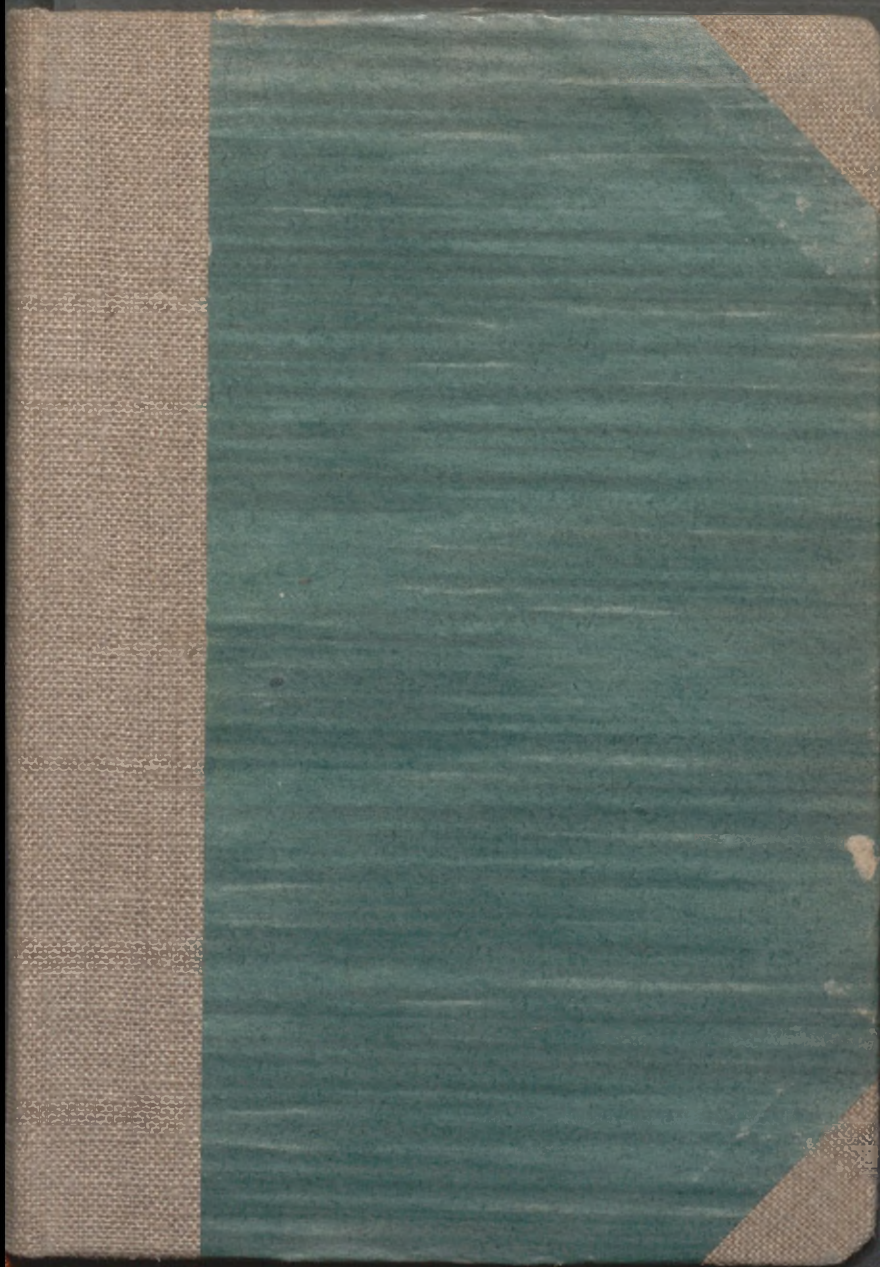


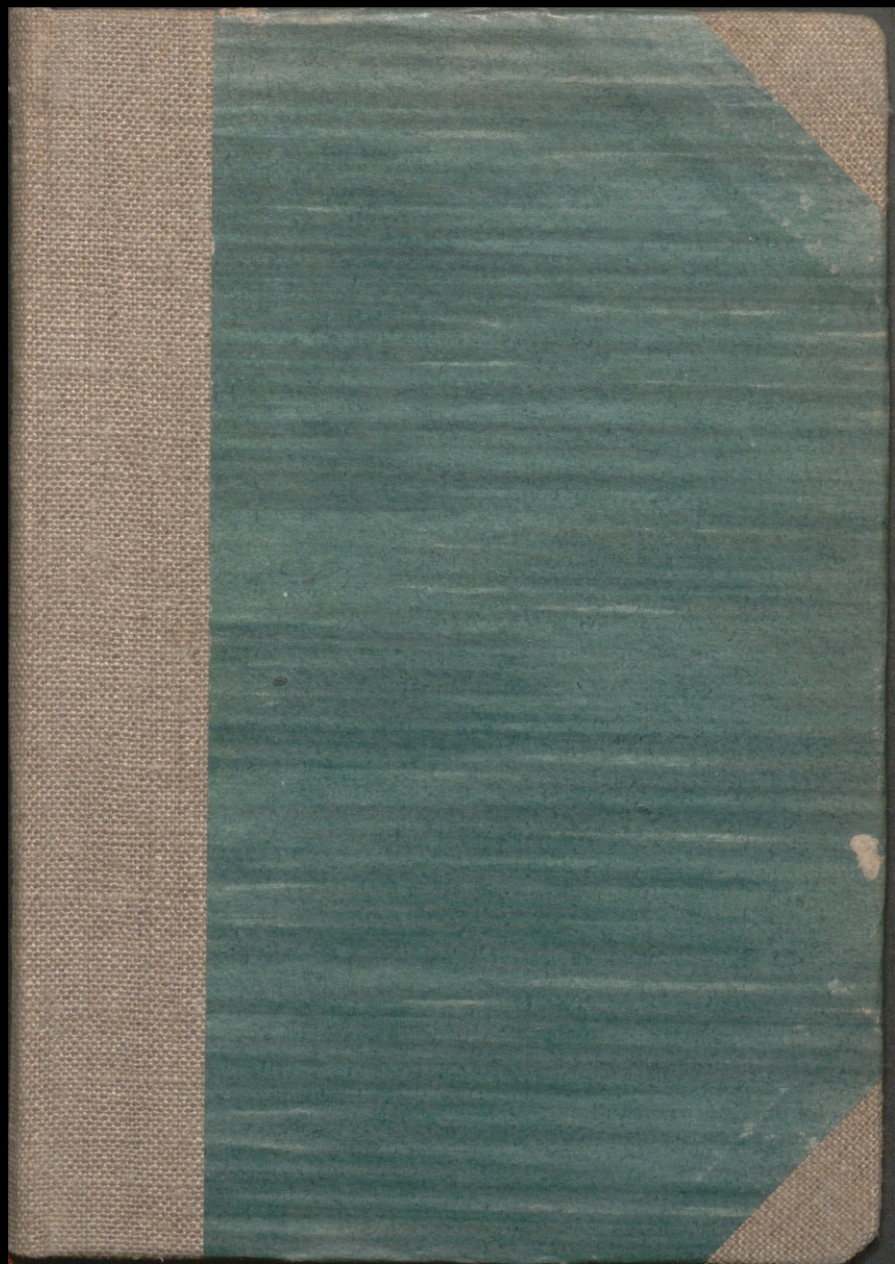


Grey Scale #13



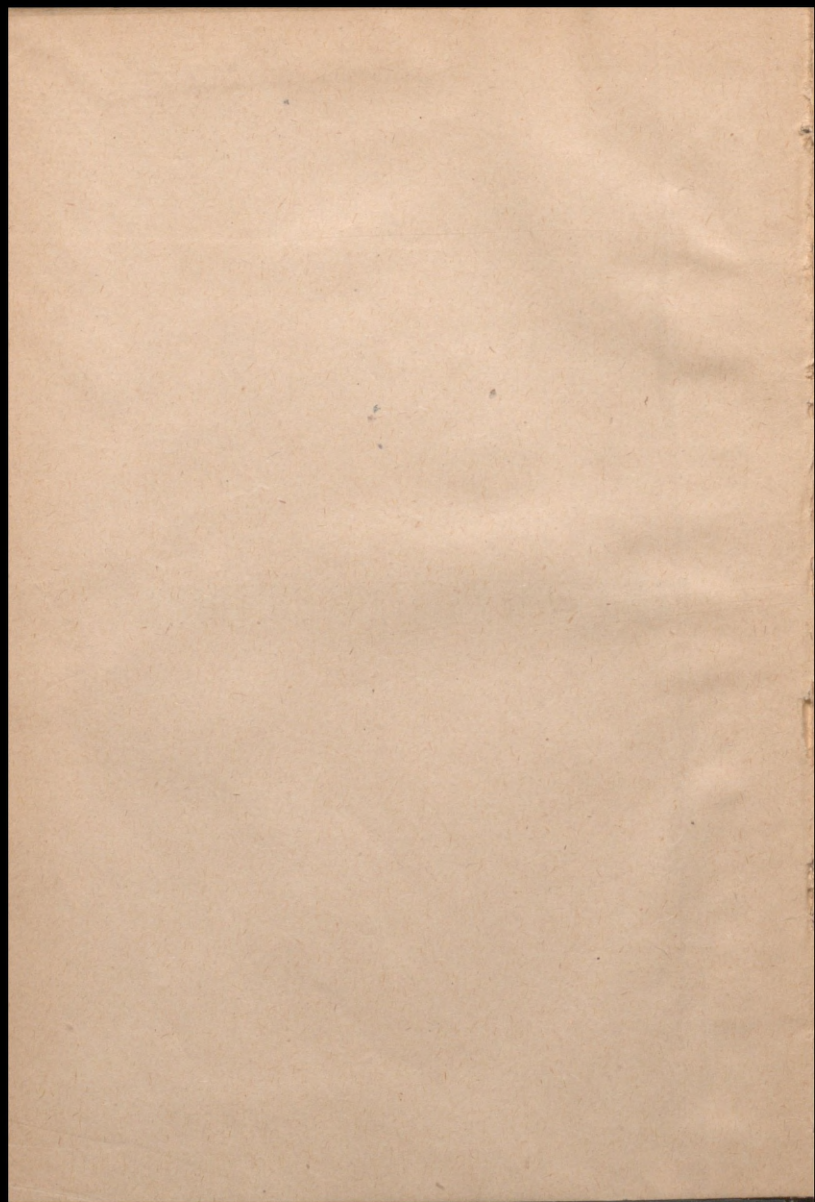
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





8.

PAMIĘTNIKI KAJETANA KOŹMIANA.



b 216

PAMIĘTNIKI
KAJETANA KOŹMIANA

OBEJMUJĄCE

wspomnienia od roku 1780 do roku 1815.

CZEŚĆ V.

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1907.

EMIL BRATRO
KSIEGOCZBIOR
No 24 ZN M



10072

/ 1

Dalszy ciąg Rady stanu Księstwa Warszawskiego.

Józef Wielohorski, generał wojsk polskich, dowódca legionu oblężonego w Mantui przez Wurmsera, wraz z głównie dowodzącym generałem francuskim w tej twierdzy, protestujący przeciw kapitulacyi i zabrany w niewolę przez Austryaków, radca stanu i dyrektor komisji żywności wojska polskiego, był synem Michała, kuchmistrza koronnego, urodzonym z Ogińskiej, siostry hetmana wielkiego litewskiego. Wychowany przez ojca, posła od konfederacyi barskiej do Paryża i kilka lat zamieszkałego we Francyi, będącego w blizkich stosunkach zażyłości z Janem Jakubem Rousseau, który na jego żądanie napisał dzieło polityczne o sposobach ratowania Polski, żyjącego w związkach z encyklopedystami i który wsławionego wówczas Mablego sprowadził do Polski i osadził w dobrach swoich na Wołyniu w Orochowie, aby mu powierzyć wykształcenie trzech synów swoich, Józef

Wielohorski pod takim ojcem i pod takim mistrzem wraz z braćmi swymi wykształcił się na celującego oświatą i oglądą towarzyską człowieka. Wszyscy z postaci przystojni, nawet urodziwi, pałający duchem rycerskim, w ścisłej byli przyjaźni z księciem Józefem Poniatowskim. Józef, radca stanu, zdarł zdrowie zupełnie i przez nadużycia młodości i przez trudy wojenne, pedogra go złamała, tak, że na kulach chodzić musiał, a później na krześle przynoszono go na posiedzenia Rady stanu. Już będąc nagabany tą bolesną chorobą, ożenił się w Krakowskiem z młodą i piękną panną Salomeą Dembińską, starościanką wolbromską, bogatą dziedziczką, siostrą rodzoną żony Tadeusza Czackiego, starosty nowogrodzkiego. Gdy ojciec majątek zadłużył i stracił, synom tylko posąg matki Ogińskiej pozostał. Oświecony, zacny, utalentowany, językiem francuskim mówiący jak narodowym (co wówczas było dość rzadkiem), znający doskonale Francję i wiedzący sekret, czem Francuzów z ich zarozumiałości i fałszywego o innych narodach wyobrażenia spychać, nader był pomocnym i pożytecznym we wszystkich z nimi o wymagania sporach i zatargach. Francuzi uważali go, bo śmiały, a razem więcej jak wielu z nich ogladzony, nie dał sobie nie narzucać. Z natury charakteru żywego a nawet popędliwego, łatwo się gniewał i unosił, i w rozprawach w Radzie stanu bywał często ostrym i cierpkim. Nie lubił metafizyki niemieckiej uczniów szkoły pruskiej, nie lubił pedanteryi Staszica, miłości własnej Linowskiego, próżności Stanisława Po-

tockiego, prezesa rady ministrów, gadulstwa Kochanowskiego, a przy każdej dyskusji spierał się z nimi na podstawie ich wad, którym przyrównywał i ich zdaniu ufność odejmował; lecz, że dobrze znano jego serce i wychowanie, dalekie od chęci ubliżenia komukolwiek, liczone to na rachunek jego poufałości, z jaką żył ze wszystkimi prawymi ludźmi. Matusewicz, Woronicza, Sobolewskiego, Badeniego niezmiernie szacował i zdanie ich uważał. Ci wynaleźli na niego sposób, iż skoro się zapalił i unosić zaczął, którykolwiek z nich, a szczególnie Matusewicz, odzywał się do niego: „Jeszcze niedość, zamało, więcej potrzeba”. Wtedy zaczął się śmiać z siebie samego i do rozpraw wracał, lub odstępował swego zdania, gdyż uporu nie miał w sobie. Jakoż ta żywość jego i drażliwość była skutkiem cierpień pedogrycznych, które niemiłosiernie go dręczyły. Dla tej bolesnej niemocy nawet jego wydział żywności wojska nie szedł tak, jakby pod tak prawym, gorliwym i nieskażonym urzędnikiem żyć i spodziewać się należało. Podwładni jego, acz zdadni, pozwalali sobie nadużyć lub na nie przez szpary patrzyli, grzeszyli albo zaniedbaniem, albo pobłażaniem. Wielohorski często po kilka niedziel w łóżku pedogrą dręczony, nie mógł wszędzie używać baczego oka, nie mógł osobiście zwiedzać magazynów, przestawać musiał często na fałszywych raportach. Skarg do niego nie dopuszczano, wybuchnęły więc z gwałtownością na sejmie roku 1811, i mimo księcia Józefa obrony, mimo chęci rządu, król, chcąc zaspokoić zażalenie i potrzebując

zezwoleń sejmowi na nowe podatki, zgodził się na skasowanie dyrekcji żywności. Zniósł on to upokorzenie mężnie, nawet z pogodą czoła, jak człowiek prawy, czystego sumienia i nie mający sobie nic do wyrzucenia prócz choroby.

Nikt od niego śmielej prawdy nie mówił, czy niższym czy wyższym. Byłem z całą radą stanu świadkiem następującego wydarzenia. Gdy w roku 1812 miał się zebrać sejm konfederacki pod łaską księcia Adama Czartoryskiego generała ziem podolskich, król saski, księżę warszawski, władzę swoją królewską względem Księstwa Warszawskiego przelał na radę stanu tegoż księstwa. Hrabia Senft Pilsach minister interesów zagranicznych zjechał przed sejmem do Warszawy. Podczas jego bytności wypadł jakiś publiczny obchód w kościele św. Jana, na którym i on miał się znajdować. Pan Stanisław Potocki wniósł wątpliwość na radę stanu, jakie mu miejsce w kościele wyznaczyć. Wielohorski pierwszy się odezwał: „naturalnie i jako gościowi i jako cudzoziemcowi i jako ministrowi interesów zagranicznych naszego króla i jako wiemy przychylnemu Polakom i cenionemu od Napoleona pierwsze przed radą stanu. Jeżeli on uzna to miejsce za zbyt wysokie dla siebie to go nie przyjmie, jeżeli przyjmie to nie będzie żadnego ubliżenia ni nam ni jemu”. Pan Potocki odrzekł na to: „ale ja jako mający charakter przez prezydencję w radzie stanu, na którą król przelał swoją władzę, charakter wice-króla powinienem zachować mój pierwszy stopień”. „Nie jesteś WPan

ni królem ni wice-królem” odparł Wielohorski „jesteś prezesem rady, na którą król przelał władzę rządu tym krajem. Rada cała jest wice-królem, a rozumiem, że w tym razie ministrowi spraw zagranicznych pierwsze miejsce przeznaczyć a przynajmniej ofiarować należy”. Rada przystała na zdanie Wielohorskiego. Gdyśmy się nazajutrz zgromadzili do kościoła, senat zajął miejsca po prawej stronie stallów kościoła, rada stanu po lewej, referendarze siedli za radą stanu, pierwsze miejsce próżne zostało dla Senft-Pilsacha, który gdy się opóźniał z przybyciem, pan Stanisław pierwsze zajął miejsce. Wśród nabożeństwa wszedł hrabia Senft-Pilsach do kościoła, w ubiorze uroczystym swego urzędu, w orderach, w trzewikach i pończochach. Prefekt warszawski Nakwaski wprowadził go między stalle aż do pana Stanisława, który czyli się zapomniał, lub też swego zdania o pierwszeństwie nie odmienił, wstawszy z krzesła zamiast usunąć się, wskazał Senftowi drugie miejsce, wtenczas ten minister, stanąwszy przed panem Stanisławem rzekł głośno: „*Monsieur le Comte je cède ma place à l'âge, au mérite, jamais à la vanité*”; to rzekłszy, siadł na drugim krześle. Po ukończonem nabożeństwie gdy Senft wyszedł, a utworzyło się koło z senatu i z rady stanu pan Stanisław odezwał się do nas: „Czego się ten Niemiec rozgniewał; zdaje mi się, że mu nie uchybił”. Wielohorski odrzekł: „Do stałeś W Pan czegoś szukał, Senft zgadł W Pana słabość”. Na sprawie Kuczyńskiego czytano długi i nudny referat publicznie, pan Stanisław z począt-

ku słuchał potem znudzony podparł się łokciami o stół i zadrzymał, nie ocknął się aż po wnioskach prokuratora. Wypadało na niego, jak to zwykle z wielką trafnością zwykł był robić, treść rzeczy sumarycznie wystawić, tą razą odezwał się: „Ja prawdziwie z tak długiego referatu nie mogę nie pojąć i nie rozumiem jakie są powody do skasowania wyroku”. „Jakżeś WPan mógł co pojąć, kiedyś WPan spał, my cośmy słuchali wiemy o co idzie”—rzekł Wielohorski i w krótkości z trafnością powiedział swoje zdanie. Po sejmie konfederackim mianowany zastępcą ministra wojny trudnił się uzbrojeniem, lecz nieszczęściem dla niego i dla kraju uderzony o łóżko chorobą, częściej go pilnując, nie mógł użyzyć sprawie ojczystej tej sprężystości, która go charakteryzowała. Zarzucano mu, iż Ludwika Krópińskiego literata i poetę przyjaciela swego, który w rewolucyi Kościuszki był niskim oficerem, i na Pradze kilkunastu ranami okryty z pod trupów wyciągnięty do życia przywróconym został, zrobił nie tylko generałem, lecz dowództwu jego powierzył świeżo z rezerw i z nowych zaciągów zbierający się na odparcie generała rosyjskiego Czerniszewa korpus. Twierdzono bowiem, że Krópiński nie tyle i tak sprężysto działał jak tego wymagały nagle wypadki wojenne. Zasiadając Wielohorski w radzie administracyjnej ówczesnej, która ulegać musiała wpływowi Pradta arcybiskupa mechlińskiego ambasadora Napoleona i która nie mogła dość znaleźć środków na zaspokojenie wymagań generała Dutailis komendanta Warszawy,

nader był pożytecznym i pomocnym, znając dobrze administracyę francuską i uważanym będąc dobrze przez Francuzów. Gdzie wymowa ani Matuszewicza ani Potockiego nie pomogła, jego śmiałe stawienie się, energiczny sposób tłumaczenia się i znajomość charakterów francuskich, nie dająca sobie nic bez przyczyny narzucać wyjednywała. Pradt w dziele swoim o swem poselstwie do Polski, trzech wspominał Polaków, odznaczających się według opinii jego rozumem, cnotą, patriotyzmem i charakterem: Potockiego, Matuszewicza, a szczególnie Wielohorskiego. Przed zajęciem przez Rosyan Warszawy udał się z całym rządem do Krakowa, tam pomagał księciu Józefowi w zebraniu nowych i dawnych szeregów i gdy rząd, wojsko, konfederacya schroniła się do Galicyi, odjechał do Paryża. Tam po abdykacyi Napoleona przedstawiony cesarzowi Aleksandrowi i W. księciu Konstantemu, z swojej ogłady, z swojego sposobu rozumowania, z żywości dowcipu i z śmiałości niezmiernie się im podobał. Skutkiem tego wrażenia, które na W. księciu uczynił mimo zdartych sił został w Królestwie Polskiem ministrem wojny. Piastował ten urząd lat kilka z powodzeniem, bo umiał unosić nieunoszony W. księcia charakter, ulegał, ale linii, za którą się podłość zaczynała, nie przekroczył. Wiedział kiedy przełożenia czynić i jak czynić. Często wesołością, dowcipem, żartami to wyrobił, czego by się nie udało najsilniejszemu rozumowi. Przecież nie uszedł zarzutu od wojska nieukontentowanego z wprowadzonej karności i od tych młodych, niedoświadczonych, lub udających

stoicyzm umysłów, które że same działać nie umieją, nieudolność swoją obinową drugich okrywają. Zamknął jednak wszystkim usta Wielohorski, bo piastował urząd tylko, póki postępowanie i sumienie mógł pogodzić z dobrem kraju, z uszanowaniem dla instytucji narodowych, z charakterem prawego męża i dobrego. Ulegał i nie odstępował miejsca, aby nie otworzyć placu czyhającej na niego podłości, lecz skoro tej podłości od niego zaczęto wymagać, stanął w obronie konstytucji z nieugiętą duszą, podziękował za urząd i dał z siebie przykład, który nie znalazł naśladowców, poświęcając wszystkie zaszczyty, łaski, nadzieje dalszego wyniesienia, czego żaden z ministrów nie zrobił. Poczem wyjechał do majątku żony odłużonego i zrujnowanego, unosząc szacunek i żal powszechny.

Ignacy Sobolewski w kolei przez jakie przechodziła Polska, sekretarz komisji rządzącej, następnie sekretarz w radzie stanu Księstwa Warszawskiego, potem radca stanu, minister policji, za Królestwa Polskiego minister sekretarz stanu, nakoniec minister sprawiedliwości, był najdoskonalszym reprezentantem każdego z tych urzędów, których nigdy nie szukał, ale do których był życzony, szukany, wybrany dla swoich zdolności, obszernej nauki, światła i umiarkowania. Od żadnego z członków rady stanu nie był pośledniejszym ani w tych wszystkich zaletach ani w patryotyzmie, chyba w wymowie od Matusiewicza i Linowskiego; od wszystkich był wyższym, w nauce ekonomii politycznej, w sztuce administracji kraju, bo się tym

przedmiotom szczególnie. oddawał w czasie swoich podróży za granicą po Anglii i Francyi i ciągle się w nich czytaniem dzieł najświeższych i najcelniejszych doskonalił. Wyższym był jeszcze rzadką w tak uzdolnionym mężu skromnością, którą do nieufności w sobie posuwał. Matuszewicz sam, tak umiarkowany w rozprawach, czasem się przeciw bałamuctwu Kochanowskiego, przeciw teoryom i uporowi Staszica zapalał, Sobolewski się nigdy nie wrywał i nie rozprawiał, zapytany bez pretensyi do wymowy rozbiarał rzecz doskonale, nie obrażał rzeczywego zdania i nie czuł się obrażonym nieprzyjęciem swego, chętnie odstępował. Był też niezmiernie z swego sądu poważany, a z osoby szanowany i kochany. Dobry ojciec, mąż, obywatel, urzędnik, Polak, równie prywatnem jak publicznem życiem zjednał sobie powszechny szacunek i уваżanie. Lubił wiejskie życie, wolne dni od urzędowej pracy poświęcał gospodarstwu i rolnictwu. Żadnej ambicyi, żadnej żądzy znaczenia, błyszczenia, zacierania drugich nie dostrzegło się w nim nigdy. Takim był jak radca stanu, takim na ministerstwach w kraju i na dworze. Mąż nieposzlakowanej cnoty i dobrze pojętego patriotyzmu, z Matuszewiczem żył w najściślejszej przyjaźni. Staszic znał się na nim i utrzymywał z nim poufałą zażyłość, sam trudny Linowski w zgodzie i dobrej harmonii z nim zostawał. Książę Józef Poniatowski lubił go i poważał, książę Adam Czartoryski za natchnieniem Matuszewicza po ogłoszeniu Królestwa Polskiego i nadaniu mu konstytucyi podał go na urząd ministra sekretarza

stanu, niższy stopień od innych ministeryów. Przyjął go nie bez ofiary, bo oświeconym rozumem wiedział na jak trudne i śliskie wchodził stopnie. Dał się jednak nakłonić i poświęcił się, gdy cesarz Aleksander wrażał ufność o swoich najlepszych dla narodu polskiego chęciach i jako uczeń Laharpa pojmował zasady instytucyi liberalnych, które sam z przekonania własnego krajowi nadał. Sobolewski umiał sobie zjednać zaufanie tego monarchy, nawet cesarz upodobał go sobie, bo poznał w nim człowieka stanu, który bystrym rozsądkiem pojął położenie swoje i cesarza. Jak Polak miał on dobrego ostrzegacza i poplecznika w ministrze spraw zagranicznych Capodistrias, który go dobrze obznajmił z polityką cesarza nieoddzielającą nigdy interesów Polski od interesów swego wielkiego państwa i Polskę stworzoną przez siebie i obdarzoną, chciał mieć dogodnym narzędziem dla spełnienia liberalnych swoich widoków dla świata, aby przez nie tem pewniej wpływem swoim na Europę, potęgę Rosyi podniósł i ugruntował. Sobolewski i tem się umiał podobać cesarzowi, że skromny, dyskretny, przezorny, poznał dobrze charakter narodu rosyjskiego, zazdroszczący Polakom łask przez cesarza na nich wylanych. Ani więc chępliwością, ani wystawnością życia, ani jakimi bądź wymaganiami nie obrażał drażliwości tego narodu, a szczególnie możnych rodzin, które tron otaczały. Umiał więc bez ubliżenia godności utrzymywać braterstwo, którego zazszczępienia cesarz sobie życzył. Cesarz Aleksander sam prawie prowadził dyplomacyę i własnem

często piórem nią kierował, jak w rozmowie poufnej zdawał się być szczerym i otwartym, tak w dyplomatycznych i rządowych zniesieniach używać lubił stylu mglistego, wątpliwego i często dwuznacznego, zgola nie zawsze i nie od każdego przeniknionym być chciał. Sobolewski jasno i wyraźnie piszący, wkrótce wyéweczył się w stylu swojego cesarza i umiał trafić w jego myśli; a czasem w życzenie, ażeby nie był zupełnie pojętym. Ztąd namiestnik królestwa żołnierz otwarty i pragnący wiedzieć wyraźnie jakie są chęci i żądania cesarza, aby im tem pewniej zadość uczynić, nie raz narzekał na dwuznaczny styl Sobolewskiego; tak, że tym urzędowym korespondencyom musiał w pomoc przychodzić prywatnemi komentarzami w listach do ministrów, objawiając to poufnie, co się pod urzędowemi wyrazami kryło. Dopóki cesarz Aleksander czy przez intrygi obce, czy też istotnie przez spiski i zmywy Karbonarych we Włoszech, towarzystw tajemnych w Niemczech i przez objawiające się podobnych wyobrażeń oznaki w młodych głowach w Polsce, nie odstręczył się od swoich liberalnych zasad, Sobolewskiego zawód był łatwym, lecz gdy po kongresie werońskim, ściślej złączywszy się z sąsiedniami mocarstwami, cofnął się z tej drogi, którą iść zamierzył, Sobolewskiego położenie trudniejszym się stało, przez zmianę cesarza z jednej, przez drażliwość polskich umysłów z drugiej strony. Uchylenie się też ministra Capodistrias od zarządu spraw zewnętrznych, a powołanie do niego hrabiego Nesselrode, acz nie zupełnie pozbawiło go rady,

pozbawiło przychylnej podpory, chociaż zawsze ostrożny, uważny i baczny utrzymywał się w ciągłej ufności cesarza, przecież z biegiem nieszczęśliwych okoliczności, wydarzył się na drodze jego nieunikniony szkopał, który go z dalszego toru strącił. Zdarzenie było następujące: Wielki książę Konstanty po odkryciu spisku Łukasińskiego, w który wielu wojskowych zawikłanymi się znalazło, po przekonaniu się o współzuciu wojska i mieszkańców, które surowość kary wywołała, patrząc na wzburzenie młodzieży szkolnej, na pisma publiczne liberalizmem tchnące, pod piórem Brunona Kicińskiego i Skomorowskiego, powziął podejrzenie o knowaniu jakiegoś ogólnego przeciw Rosyi spisku i zażądał od cesarza władzy nieograniczonej *pouvoir discretionnaire*, nie rękując, aby bez tej władzy mógł utrzymać porządek i grożąc, że bez niej porzuci Polskę. Cesarz, odebrawszy to żądanie w chwili, w której wiele mu zależało na nieodstręczeniu wielkiego księcia od mieszkania w Polsce i zajmowania się wojskiem polskim, znalazł się w bardzo trudnem położeniu. Wezwawszy więc Sobolewskiego i oddając mu W. księcia żądanie, oświadczył mu, iż chciałby dogodzić bratu, bez ubliżenia jednak instytucjom, nadanym przez siebie królestwu. Sobolewski spostrzegł zaraz, iż się to pogodzić nie da w kraju, w którym wyraźny artykuł konstytucyi zaręczył zachowanie kardynalnego prawa. *Neminem captivabimus nisi jure victum*, i raczej w razie jeżeli obawy W. księcia są uzasadnione o czem wiedzieć nie może, a będąc pewnym, że

z każdego nierozważnego wybuchu więcej wynikało niebezpieczeństwa dla Polski, niż dla Rosyi, był za zawieszeniem na czas konstytucyi, jak za jej zgwałceniem. Cesarz rozkazał mu szukać środków w ograniczeniu żądanej przez wielkiego księcia władzy, w sposobie o ile tylko można dogadzającym W. księcia chęci, a ubliżającym jak najmniej przepisom konstytucyi. Sobolewski ułożył to nadanie władzy, wymieniając przypadki, w których jedynie mogło nastąpić przytrzymanie osoby, a po jej przytrzymaniu sądowe postępowanie według konstytucyi zastrzegł. Cesarz przeczytał, rozważył, jak słyszałem poprawił i przestać równie W. księciu jak namiestnikowi zalecił. Ledwie to nadanie W. ksiązę odebrał, uniesiony gniewem, że bezwarunkowej nie otrzymał władzy, przywołał namiestnika, miotał na Sobolewskiego gromy i groźby, jego redakcyi i udziałowi przypisał zaprowadzenie zmian w cesarskiem postanowieniu, ledwie go o podzielenie ducha, którego chciał poskromić, nie obwiniął. Zakazał więc ogłoszenia i z całą żywością swego charakteru odesłał cesarzowi nieprzyjęte przez siebie nadanie. Jak się z sobą wytłómaczyli bracia, nie jest mi wiadomem. Rzeczy zostały *in status quo* aż do przybycia cesarza do Warszawy. Sobolewski pierwaj zjechał, a gdy przyszedł powitać wielkiego księcia, ten w najwyższem uniesieniu, wobec wielu generałów i różnych innych osób gorzkie i groźne uczynił mu wyrzuty, w słowach twardych i ostrych. Sobolewski z zwykłą słodyczą i z skromnością odpowiedział, „iż starał się jak mógł najlepiej wypełnić wolę ce-

sarza, przyznałby się do niezręcznej może i niestosownej redakcyi, gdyby jej był cesarz nie rozważył i nie potwierdził". Tem nieukontentowaniem W. księcia zmartwił się i zasmucił Sobolewski, czekał jednak z spokojnością, azali cesarz, który dowiedział się o przejściu, jakie miał z W. księciem, nie okaże mu łaskawem słowem chęci wynagrodzenia mu tej przykrości. Lecz cesarz przy pierwszym stawieniu się Sobolewskiego, nietylko nie mu o niej nie wspomniał, lecz jeszcze jakieś zasepienie się okazał; bądź że cała ta sprawa była mu nieprzyjemną, bądź, że nie tyle redakcyja mu nie dogadzała, jak to wyjawienie Sobolewskiego, że przez niego potwierdzona została, i że wolałby był, aby on wziął na siebie całą winę dla oszczędzenia mu nieprzyjemności. Domyślił się więc Sobolewski położenia rzeczy, wiedział, że, usuwając się na zawsze, wystawi się na nieukontentowanie cesarza, obrał więc środek prosić o urlop kilkomiesięczny dla poratowania zdrowia. Cesarz nietylko chętnie zezwolił, lecz wypogodził czoło, jak gdyby chciał dać poznać, że tej ofiary potrzeba było dla przywrócenia dobrej harmonii między cesarskimi braćmi. Uściskał więc Sobolewskiego z oświadczeniem swojej najwyższej przychylności i dodał: „dajże mi kogo na następcę z którego bym i ja i brat był kontent". Sobolewski wspomniał Stetana Grabowskiego, radcę stanu, generała brygady, zasiadającego w komisji wojny, a przez ten stopień podległego W. księciu. Cesarz przyjął go i W. księżę usunięcie się Sobolewskiego i mianowanie Grabowskiego uważał jak-

by odniesiony tryumf. Podróżował więc Sobolewski i był tyle szczęśliwym, że unikał wielu nieprzyjemności. Oplakał on w cichości śmierć cesarza Aleksandra, a po śmierci Badeniego mianowany ministrem sprawiedliwości, ze zwykłą sobie pracownością i zdolnością sprawował ten urząd. W roku 1830 wyjechał do wód i przedłużywszy swój pobyt za granicą, nie był przytomny wybuchowi, który i ojczyznę i rodzinę jego w oteblań wepchnął. W lat potem parę za pierwszej bytności cesarza Mikołaja w Warszawie, ukazał się tamże, słyszałem iż z początku był przyjęty obojętnie, nawet zimno, bo nie wiedziano, jaką ma opinię i wziętość u panującego. Koło rodzinne na Grzybowie i kilku przyjaciół było jego schronieniem i pociechą. Doświadczył, czego wszysej ludzie znakomici zasługą doświadczyli, od tego rodzaju czcicieli fortuny, którzy za jej promieniem cześć swoją od jednego do drugiego przenoszą. Jedni nie wiedzieli jak go witać, inni zimno i ostrożnie do niego przystępowali, inni go unikali. Mąż mądry śmiał się w duszy, i oszczędzał im zakłopotania. Sam poszedł na publiczne posłuchanie i wmieszał się w tłum, nie wysuwając się swoim skromnym zwyczajem naprzód. Wieleż to przed nim stało nowych wielkiej jasności znaczeń, wielu ludzi, którzy za czasów cesarza Aleksandra na spojrzenie jego przy drzwiach czekali. Ci sami z wysokości swojej nie spojrzeli na niego. Cesarz, obchodząc, spostrzegł w tłumie dawnego ministra, zbliżył się, uchwycił za rękę, uściśnął i rozmawiać z nim zaczął, następnie do stołu

swego wezwał. Otóż od tej chwili, zacząwszy od najwyższych osób do najniższych, współubiegano się w czci i w uszanowaniu dla niego. Nie nowe to rzeczy, tak było i będzie zawsze. Znajdujemy między ludźmi więcej podłych jak zacnych; Sobolewski przechodził przez wielkie nieszczęścia. W Petersburgu stracił ulubioną córkę jedynaczkę, piękną i najlepiej wychowaną i w Warszawie w młodzieńczym wieku syna. Stracił żonę, którą kochał i szanował, stracił za granicą syna drugiego, wielkiej zacności i zdolności. Pozostał mu tylko najstarszy syn Józef, równie zacny, oświecony i najstaraniej wykształcony. On miał nieszczęście pochować w obcym kraju ojca, którego w lat siedemdziesiąt przechodzącym wieku ciosy krajowe i domowe straty złamały i do grobu wtrąciły.

Stanisław Staszic.

Stanisław Staszic, za Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego radca stanu, a potem minister stanu, na którym to urzędzie złamany wiekiem, trudami i przeciwnościami, przeżywszy przeszło lat siedemdziesiąt, zawód-swoj zakończył.

Kto on był? co dla ziomków, dla kraju, dla całej ludzkości uczynił, jak się dla niej wylał, z całym zapalem najszlachetniejszego i najzaciejszego serca, z całą nieuległością swego przekonania, z całą siłą i tęgłością oświeconego nauką i rozmyśleniem ukrzepionego umysłu, wie kraj, wie powszechność narodowa, a cała ludzkość dla chluby i sławy natury ludzkiej wiedzieć powinna. W Księstwie Warszawskiem już on był duszą, która wszystko poruszała, wszystko ku dobru powszechnemu ludzkości niezmordowaną czynnością, a rzadkim i może jedynym wzorem zupełnego wyrzeczenia się samego siebie dla dobra i uszczęśliwienia drugih kie-

rowała. Taki mąż naturalnie między oświeconymi i cnotliwymi towarzyszami miał wielką powagę i znaczenie, a zdanie jego zyskiwało zasłużoną przewagę. Nigdy nie objawiał swego mniemania bez długiego zastanowienia się i namysłu, pojąwszy rzecz wszechstronnie mówił jak mistrz, pewny dobroci swego zdania. Referaty jego nosiły cechę objęcia dokładnego przedmiotu, były wypracowane mozolnie i znać było ze stylu i z śmiałości wniosków pisarza „Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego” i „Przestróg dla Polski”. Ta sama jędrność, moc, ta sama gorliwość w poszukiwaniu prawdy, ta sama odwaga w wyrażeniach często ostrych i żadnym ubocznym widokom i czyich bądź mniemaniom nie uległych. Lecz mąż ten mądry, uczony, wyrobiony pracą i rozmyślaniami, nie miał talentu nieprzygotowanej wymowy, a zasiadał w gronie, w którym kilku kolegów jego jak: Potocki, Matusiewicz, Linowski, Łuszczewski, tym darem wrodzonym w wysokim stopniu celowali. Gdy przyszło swój referat popierać lub cudze wnioski zbijać, namyślał się, rozważał, gotował, a gdy zaczął mówić, po kilku peryodach płynność go odbiegała, słów brakowało; ztąd czasem w gniew wpadł, unosił się i stawał się cierpkim w dyskusyi, a czasem twardym i przymawiającym, bo tylko swojej prawości i cnoty zdawał się być pewnym, i mało było ludzi, których zdań i czynów z podejrzliwością nie badał i o osobiste widoki nie posądzał. Godzi się o tak osobliwym, szczególnym, a może jedynym w Polsce mężu nieco obszerniej pomówić i dać go dokładniej z szczegó-

łów jego życia poznać młodemu plemieniu, zwłaszcza, że biografie jego dotąd po dziennikach i innych pismach peryodycznych umieszczone, z jednego tylko źródła, to jest z mowy pogrzebowej księdza Szwejkowskiego, rektora akademii warszawskiej czerpane są niezupełnie dokładne. Dają się w nich spostrzegać nietylko opuszczenia, lecz nie mieszczą żadnej wiadomości o prywatnem życiu Staszica, w którym się najlepiej wybijają pierwsze zarody charakteru duszy, umysłu i serca. Ksiądz Szwejkowski czerpał wprawdzie opowiadanie swoje z biografii, którą sam o sobie Staszic dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wedle jego ustaw, własną ręką napisał, lecz mówiąc w czasach, w których ani o człowieku, ani o autorze politycznym, ani o pisarzu, ani o Polaku, wszystkiego powiedzieć, a zwłaszcza w świątyni pańskiej nie można było, mówiąc z ambony o eks kapłanie i prawie renegacie charakteru kapłańskiego, musiał Szwejkowski ostrożnie drażliwe ustępy jego życia pomijać. Ja, będąc przeznaczonym przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk do powiedzenia na posiedzeniu publicznem pochwały Stanisława Staszica, miałem sobie udzielony ten sam rękopism biografii, jego własną ręką skreślonej, zacząłem pisać, okoliczności pracę przerwały. Wróciłem Towarzystwu udzielony mi rękopism, lecz notaty z niego zostały przy mnie. Przy tem jestem może jedynym przy życiu pozostałym świadkiem młodości Staszica, bo będąc dzieckiem poznałem go gdy z zagranicznych akademii wrócił i umieszczony jako nauczyciel synów Jędrzeja Zamoyskiego,

eks-kancelerza Wkoronnego w Zamościu, w akademii naukę języka francuskiego wykładał i mieściłem się w gronie uczniów jego aż do czasu, w którym się na kapłana wyświęcił i został proboszczem w Turobinie. Przeniesiony z Zamościa do szkół lubelskich straciłem go z ócz; podczas rewolucyi Kościuszki, będąc wychodźcą widziałem go, po rewolucyi i nastąpisonej wkrótce śmierci Konstancyi z książąt Czartoryskich Zamoyskiej, przy której w Wiedniu przemieszkował, szczegóły o nim zbierał z ust Joachima Owidzkiego, osobistego jego przyjaciela i ciąglego na dworze Zamoyskich towarzysza, widywałem go w jego domu i w Lublinie, nakoniec za Księstwa Warszawskiego jako referendarz i członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, byłem jego współpracownikiem, a szczerzej mówiąc, prawie uczniem, bo nie złączyłem się z tymi, którzy jego bezprzykładne poświęcenie prawie w szyderstwo podawali dla tego, że postępowanie Staszica było dla nich nieznośnym wyrzutem. Po wojnie napoleońskiej wspólnie z Marcinem Badenim, wielkim jego przyjacielem podróżowaliśmy we trzech do Krakowa, a nim konfederacya otworzyła swoje posiedzenia w Krakowie, przebyliśmy razem w Bejskach u Marcina Badeniego, blisko sześć niedziel, na poufanych politycznych i literackich rozmowach. Tam Staszic najwięcej pracował nad swoim wielkim poematem *Ród ludzki*, tam co rano ściągał mnie do swego mieszkania i czytywał mi długie ustępy tego zapewne, co do form poetycznych niepowabnego dzieła, białym, bez spadków wierszem nakreślonego, bra-

kiem wiary religijnej i błędną filozofią nacechowanego, lecz które odczytane z uwagą i z przekonaniem że mąż ten tak uczony, tak mądry nie mógł przedsięwziąć dzieła zupełnie śmiesznego, zadziwia zbiorem niesłychanych wiadomości, głęboką erudycją, daje wyobrażenie o mozolnej ciężkiej pracy Staszica, skierowanej zawsze ku wyśledzeniu prawdy, o człowieku, o jego naturze, o jego losach; czytywał mi wyjątki z Illiady z deklamacją wybijającą harmonią naśladowczą, którą mniemał usprawiedliwiać tok nierównego, urywkowego i bez spadku wiersza. Gdy niektóre twarde gminne lub napuszone wyrazy raziły moje ucho, tłómaczył mi, że tak Homera przekładać należy. Gdyśmy naprzykład doszli do tego wiersza, malującego jak Ulisses rozgniewany na Tersyta berłem go uderzył, a to w tych wyrazach: „Ty blazgonisz i berłem go po grzbiecie przeparzył”, zapytał mnie, czyli to wrażenie nie dość wybitnem znajduję, odpowiedziałem, „iż może właściwiej byłoby powiedzieć. „Po coś rozpuścić usta i berłem go po plecach uderzył”, odrzekł on na moją uwagę: „Toby było po terazniejszemu, a ja chcę Homera Homerem tak prostym i naturalnym, jak on był i wiek jego, ziomkom okazać. To są gminne wyrazy, bo też Homer był gminnym poetą i dla gminu śpiewał”. W Krakowie gorszył się z wesomości i z zabaw w chwilach konania Polski i gdy za namową Badeniego i generała Kniaziewiczą napisałem wiersz na tańczący Kraków, wymawiał mi, że mi go do sekretu nie dopuścił. „Domyśliłem się—mówił—żeś to ty napisał, boś się współ-

nie z nami na te szaleństwa oburzał⁷. Rozjechaliśmy się z Krakowa, w rok potem zastałem go już w Warszawie, w niespokojnościach o losy Polski i zajętego jedynie Towarzystwem Przyjaciół Nauk. Po utworzeniu Królestwa Polskiego, ciągłym byłem jego towarzyszem a często współpracownikiem, to w radzie stanu, to w komisji spraw wewnętrznych, to w Towarzystwie przyjaciół nauk. Odbywałem z nim częste wycieczki do Targomina i Włoch, mieszkania ministra Mostowskiego, który go nieskończenie cenił i poważał. Miałem więc sposobność przejrzeć go wskroś i badawczem okiem, że tak powiem, zakraść się w najdrobniejsze fałdy jego serca. W poufanych w podróży rozmowach najszcześliwszą miewałem do tego sposobność. Powiem z chlubą; szacując mnie i patrząc jak na swego ucznia, wywnętrzał się z swoich uczuć i planów, mogę więc do biografii jego w numerze 38 „Przyjaciela ludu” z roku 1838 w miesiącu lutym umieszczonej, dodać niektóre wiadomości. W życiu tak znakomitego męża najmniejszy szczegół, nie może być obojętnym dla narodu, któremu tyle dobrodziejstw wyświadczył.

Staszic nienawiść do możnowładztwa i możnowładców polskich powziął od młodości, jako dobry syn zacnych acz w bardzo miernym stanie żyjących rodziców. Starosta grodowy Ciński wyrządził był krzywdę na majątku i honorze ojcu jego, burmistrzowi w Pile. Krzywdę tę głęboko uczuł młody Staszic i ważył w sercu gromy przeciw możnym, pomoc i wsparcie uciśnionym. Chociaż ży-

wych namiętności i nie czujący w sobie żadnego powołania do stanu duchownego, przecież że pobożna matka w słabościach go ofiarowała Bogu i życzyła sobie, aby przywdział kapłańską suknię, przez miłość dla niej, przez uszanowanie jej woli, ten gwałt sobie uczynić zamierzył. Po śmierci rodziców, otrzymawszy część szczupłą spieniężonego majątku i ukończywszy w kraju nauki, udał się do niemieckich akademii, ztamtąd do Paryża, gdzie nie pod Bufonem, jak to czytamy w kazaniu Szwejkowskiego, lecz pod sławnym Dubantonem słuchał wykładu historyi naturalnej i szczególną żądzą nabycia dokładniejszych znajomości nauk przyrodzonych przejętym został. Był w zażyłości z wszystkimi tak nazwanymi filozofami 18 wieku, to jest z wszystkimi encyklopedystami, z obcowania z nimi nie mógł nabyć czego innego, jak zgubnego sceptycyzmu, jednak prawy i ugruntowany w zasadach moralności uczeń, przejął się silnym wstrętem do podłości, niekzemności, cheiwości, przedajności, które ci mniemani filozofowie, a istotnie jurgieltnicy monarchów i pochlebcy możnych, za wzorem patriarchy swojego Woltera płaszczem ówczesnej mądrości okrywali. Wróciwszy do kraju z wykształconym umysłem, nie mógł się spodziewać według panującej ustawy i zwyczajów być umieszczonym na jakim bądź urzędzie publicznym jako nie szlachcic, chyba tylko jako człowiek uzdolniony mógł uzyskać miejsce sekretarza lub nauczyciela w jakim możliwym domu, albo dopiero po skasowaniu zakonu Jezuitów w zamierzonej dopiero komisji edukacyj-

nej. W oczekiwaniu więc jakiego umieszczenia, znajdował się na owym nieszczęśliwym i zbrodniczym sejmie roku 1773, na którym pod laską Ponińskiego, kuchmistrza koronnego, dwie wielkie zbrodnie popełnionemi zostały: podział kraju i rozszarpanie dóbr jezuickich. Widział więc zadany gwałt sejmowi przez Ponińskiego, jurgieltnika dworu obcego, patrzył jak tą laską, którą podnosić przysiągł na obronę kraju i jego, swobód, przymuszał posłów do zabójstwa ojczyzny. Patrzył na czolągającego się u nóg posłów cnotliwego Reytana, słyszał głos jego rozpaczy, jakby jęk konającej matki, gdy rozciągnięty na progu wołał: „Zabijcie mnie, a nie zabijajcie ojczyzny”; widział gwałt na jego osobie i tak mocne odebrał w cnotliwej duszy wrażenie, że już w sercu jego gotowały się te gromy, które później z całą energią silnego pióra wyzionął. Szczęśliwem zdarzeniem dał się poznać Józefowi Wybiekiemu, przyjacielowi Jędrzeja Zamojskiego, który na tym sejmie prawie sam jeden cnotliwy i nieugięty złożył urząd kanclerza, aby zgubnego dla ojczyzny traktatu nie podpisać. Król czuł wielkość jego duszy i zasługę, odbierając od niego pieczęć i nie szczędząc mu pochwał, rzekł do niego: „Potomność mylić się będzie między Janem i Jędrzejem. *Video meliora proboque, deteriora sequor*; bo Stanisław August traktat podziałowy podpisał i znalazł w Młodziejowskim kanclerza, który na tej hańbie narodu pieczęć położył. Staszic więc, zalecony Jędrzejowi Zamojskiemu, wezwany został na współnauczyciela młodzieńskich synów eks-

kanclerza, nad którymi główny dozór miał l'Abbé la Chaise, Francuz oświecony, Staszic zaś dawał nauki w polskim języku. W domu Jędrzeja Zamojskiego doznał znowu bolesnego wrażenia, z zapamiętałości narodu, której był świadkiem. Z następnego sejmu Jędrzej Zamojski, wyznaczony został do ułożenia kodeksu praw krajowych, któreby odpowiadały potrzebom Rzeczypospolitej. Mąż ten, najcnocliwszy w Polsce, oświecony, ludzki, znany z nieugiętej prawości, mający powszechną wziętość i powagę w kraju, zdawał się najzdolniejszym królowi i narodowi do przedsięwzięcia zmiany praw feudalnych polskich, pod któremi jęczał lud wiejski; mniemano, że wnioski tego Arystydesa Polski, przekonaniem i powagą jego okryte, znajdą łatwy przystęp do umysłów oświeconych, a uprzedzonych i przesądnych do zmilczenia zmuszą. Zamojski przybrał sobie do pomocy Józefa Wybickiego i najcelniejszych prawników warszawskich. Sędziwy starzec, mędrzec i filozof, tem co już w swoich dobrach dla ludu wiejskiego uczynił, radby był cały kraj obdarzyć. Będąc w Bejscach u Marcina Badeniego, miałem w ręku rękopism tegoż Jędrzeja Zamojskiego projektów jego do tych praw z biblioteki królewskiej otrzymanych, które rozdziałami ekskanclerz królowi Stanisławowi Augustowi do opinii przesyłał. Na stronicy jednego z tych rozdziałów, w którym były rzucone zasady porównania z sobą wszystkich stanów w obliczu prawa, podniesienia stanu wiejskiego do równości szlacheckiej, upoważnienia małżeństw między chłopkami a szlachtą i t. d.

czytałem te słowa ołówkiem ręką Stanisława Augusta nakreślone. „Zbawienne, święte prawo ale zawczesne, zepsuje wszystko”. Przewidział i zgadł Stanisław August, ledwie na następnym sejmie wniesiono projekt, powstało wzburzenie niesłychane umysłów, nieprzypuszczono żadnego rozdziału do dyskusji, odrzucono projekt. Byli tacy co wołali, aby Zamojskiego ogłosić *pro hoste patriae*. Inni domagali się, aby rozkazać na publicznym rynku palić przez kata najzbawienniejsze prawo. Staszcie, świadek tego szału, tej głupoty, tej krzywdy i niewdzięczności wyrządzonej najznakomitszemu, najcnotliwszemu mężowi, usunął się wraz z nim z Warszawy na wieś, a potem do Zamościa, gdzie ten wielki mąż świadectwem swego sumienia i mędrca umysłem trawił w sobie zgryzotę z zawiedzionych nadziei i ból z niewdzięczności, ciemnoty i zaślepienia ziomków. Staszcie młody, gorący, żywy, cnotliwy obrazem doli tego męża, szałem i zapamiętaniem współrodaków tak był głęboko poruszony, że odtąd zamyslał się nad stanem Polski, nad sposobami ratowania jej. Bolał wraz z Jędrzejem Zamojskim, a w rozmowach z nim szukał hartu duszy, rósł w pogardę, w nienawiść do zbrodni i występków narodowych. Nie mając znaczenia, zapragnął je sobie piórem stworzyć, rozdmuchiwał w sobie, niecił zar palącej miłością ojczyzny duszy, i już rozmyślał nad znakomitemi politycznemi dziełami. W jednym z nich wyskoczyła mu z serea iskra ubolewania nad Jędrzejem Zamojskim w tych rzewnych słowach: „Przyjaciela ludzi nazwano nieprzyjacie-

lem Polaków⁷. Nie wierzył atoli jeszcze swoim siłom i zdolnościom do wejścia w zawód politycznego pisarza. Lat kilka sposobił się przez czytanie archiwum papierów Jana Zamojskiego, a tymczasem rozrywał się niekiedy literaturą narodową i zagraniczną, na tłumaczeniach celniejszych autorów francuskich wprawiając pióro do ważniejszych przedsięwzięć. W tych tłumaczeniach widać wahanie się, jaki rodzaj literatury za cel sobie wybierze, przerzucał się na wszystkie rodzaje, nagłym młodego człowieka przeskokiem, to w prozę, to w poezję, to raz w poważne i techniczne dzieła, to znów w romanse; szedł za wrażeniem, jakie w nim bądź głos powszechnej pochwały, bądź własne jego upodobanie wzniciło. I tak między rokiem 1780 a 1785 tłumaczył poematy Rasyna młodego o religii, następnie powieść romansową „Numa Pompiliusz” drugiego króla rzymskiego z Floryana, znowu przerzucił się do tłumaczenia ważnego dzieła Buffona „Epoki natury”, w którym już przeziiera śmiałość i powaga pedagogiczna. W wyrazach w przedmowie umieszczonych ostrzega: „Niech głupi dzieła tego nie czyta, bo w niem nic nie zrozumie”. I znowu z tak poważnego i uczonego dzieła przeskoczył do tłumaczenia pochwały Marka Aureliusza przez Thomasa napisanej. W roku 1784 zjawił się pierwszy owoc jego głębokich rozmyślań nad Polską, nad naturą jej rządu, nad wychowaniem publicznem i obywatelskiem młodzieży, nad wadami ustawy rządzącej i narodu, pod tytułem: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego, hetmana i kanclerza W. ko-

ronnego, przystosowane do terażniejszego stanu Polski". Jest to pierwsza iskra tego głębokiego rozumu i serca miłością ojczyzny przepelnionego, która rany narodu i niedoskonałość rządu wyświeciła, i która jak płyn elektryczny przeniknęła serca jego ziomeków i umysłami ich wstrząsnęła, jest to dzieło, które się przyczyniło do obudzenia ducha w sejmie 1788 roku. W dziele tem atoli łatwo dostrzedz można, że jest płodem gorącego, zacnego, ale młodego jeszcze pisarza. Nie ma w nim ani systematu, ani porządku, ani jedności, ani właściwości stylu różnorodnym przedmiotom, o których mówi: Są w nim sprzeczności, są paradoksy, jest mieszanina wymowy i poezyi, prozy poważnej, dobitnej, grzmiącej i znowu lekkiej, romansowej, opisującej. Są sny poetyczne, obrazy marzeń i t. d. Atoli mimo tych wad są rady zdrowe, przestrogi zbawienne, piórem w płynie elektrycznym maczanem pisane. Widać, że autor kreślił je cząstkowo, jak mu materye polityczne, ekonomiczne, administracyjne na myśl przychodziły, i potem je dopiero szykował. I tak wysliznęły mu się te słowa: „Starożytność duszę ledwie znała“. Zapomniał o Sokratesie, o Platonie, o Arystotelesie i t. d., a przecież sam w planie edukacyi wyłącza za wzorem Platona naukę poezyi słowami pogardy dla tego rodzaju: „Jeżeli ma dowcip, łatwo się tego bajarstwa nauczy“. Przecież, jak wiemy, sam potem tłumaczył to bajarstwo Homera, i wielkie poematy „Ród ludzki“ prawdziwie rzec można przebajał. Lecz to wszystko nie odejmuje ceny jego cnotliwej pracy; obrazy

zdrajców ojezyny, sejmu podziałowego, *liberum Veto*, niezgód, niesnasków sejmowych, ambicji i dumy możnych, są piórem Danta, acz prozą kreślone; zapędy zgrozy jego hamowała tylko nadzieja, że naród rad jego posłucha, zadziwia w nim niesłychana pracowitość, z jaką zebrał wiadomości statystyczne, rolnictwa, handlu, przemysłu w Polsce i rachunkowe tabele z nich ułożył. Zdaje mi się, że to dzieło pierwotnie w innym porządku materji w Heilsbergu w roku 1784 drukowane, nie było ani tak obszerne, ani tak szczegółowe, więcej w niem było wzmianki o życiu, o sprawach Jana Zamojskiego. W drugim wydaniu umieszczonem na czele zbioru pism Staszica, prawie inne dzieło obszerniejsze i co do przedmiotów rozleglejsze czytamy; znać, że Staszic je przerobił, wyrzucił z niego wiele o Janie Zamojskim, jako już umieszczone w pochwale r. 1784 napisanej. Długo się nie domyślano autora tego dzieła, przypisywano je Józefowi Wybickiemu, dopiero później przyznał się Staszic do niego.

Przy zbliżającym się sejmie r. 1788, gorliwy ten Polak, kolysany nadzieją poprawy losu Polski, znalazł się wraz z Jędrzejem Zamojskim na tym sławnym sejmie, na którym wykrzyknięto 100,000 wojska i podatki, a na którym pierwszy Jędrzej Zamojski 200,000 złotych złożył na ołtarzu ojezyny. Świadek początkowego zapалу, a wkrótce opieśzałości, obojętności, uległości izb zebranych, świadek wniesionego zaskarżenia przeciw morderey ojezyny Ponińskiemu i ztąd przerażenia wielu po-

słów, aby oskarżony współwinowajców nie pociągnął za sobą, następne ułatwienie mu ucieczki—schwytnięcie, osądzenie na więzienie w Gdańsku, z gorszącym pobłażaniem najstraszniejszej zbrodni, obrona tejże zbrodni przez Kaliksta Ponińskiego, brata zdrajcy, przez które kilka posiedzeń zmarnowanych zostało, egoizm Wielkopolan i ukrzywdzenie przez nich kraju w podatkach; zabawy, uczty, intrygi, przekupstwa, mnóstwo pieniędzy rozspanych przez obce rządy, w taki smutek i boleśń wprawily enotliwego Staszica, iż wziął pióro do ręki i dzień i noc pracując, napisał w roku 1790, przed samą trzeciego Maja konstytucyą—dzieło pod tytułem *Przestrogi dla Polski ostatnie*, w którym serce, umysł, imaginacya i pióro niemi kierowane wysadziły się, na ostre wyrzuty, groźby, przepowiednie przeciwko wszystkim przeszkadzającym do wzniesienia nowej budowy, rządu i zniszczenia panującej w rzeczypospolitej anarchii. Staszic z początku tego dzieła spokojnie, jak mistrz z katedry przekłada i uczy naród pierwszych zasad społeczeństwa, wzajemnych obowiązków rządzonych i rządzących, rozwija w wnioskach kontrakt Russa, przechodzi następnie do zastosowania tych zasad, do stanu politycznego Polski, nie tai się z przekonaniem, że lubo jest gorliwym miłośnikiem równości i wolności, a nienawidzi despotyzmu, przecież od rzeczypospolitej nierządnej, takiej, jaka jest w Polsce, wolałby widzieć despotyzm, boby ten przez własny interes uratował jestestwo narodowe, prawa, obyczaje, religię, gdy przeciwnie rzeczpospolita zgubi naród. Radzi jak

najprędzej wprowadzić sukcesyą tronu i monarchią konstytucyjną, przebiega kolejną komuby z sąsiadów tron dziedziczny oddać, zdaje mu się, że najnaturalniej i najkorzystniej byłoby wezwać księcia rosyjskiego, lub pod jedno berło się poddać. Myśl tę wyprowadza z jednorodnego szczepu Słowian najmniej niebezpiecznego narodowości polskiej, wyprowadza z dawnej polityki starych Polaków, po śmierci Zygmunta Augusta i za Jana Kazimierza, po kilkakroć powziętej, wyprowadza z postępowania ówczesnego Rosyi z podbitymi ludami, zachowującego podówczas każdemu ludowi jego narodowość i obyczaje. Innych sąsiadów uważa jako nieprzyjaciół krwi istnienia narodu polskiego. W ostatnim razie, gdyby związki z Rosyą związane być nie mogły, radzi oddać tron dziedziczny domowi saskiemu, jako przychylnemu Polakom i znającemu ich obyczaje i skłonności. Rozrzewniającemi są jego zaklęcia się sumienne, „nie jestem”—mówi—„znany i znanym nie będę, nie szukam znaczenia, ale kocham mój kraj, mój naród z zapalem i szczerze. Nie jestem ani rosyjski, ani pruski, ani austriacki stronnik, nienawidzę sprawców krzywd naszych. Jestem niewolnik obcego monarchy zaprzędany mu przez współrodaków. Wy, co opóźniacie dzieło wybawienia, przyjdźcie tu zobaczyć co ja cierpię, co moi współrodacy cierpią, a ujrzycie co was czeka”. Ten swój systemat rozwinął wyraźniej w roku 1815 podczas kongresowego królestwa, w rozprawie czytanej na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk o *Równowadze europejskiej*, w której radzi zrośnię-

cie się wszystkich Słowian pod berłem cesarza rosyjskiego. Woła na Rosyan i Polaków, aby się nie dali rozdzielać przez poduszczenia obcych, ale na zawsze złączyli się pod zastrzeżeniem sobie swobód rządu konstytucyjnego i narodowości. Ileż jest w tem płśmie tkliwych, rzewnych obrazów, któremi ta przepelniona miłością ojczyzny, dusza wciska się do czucia i przekonania rodaków. Oszczędza i szanuje stan szlachecki, przekonywa go, że w tym składzie potwornym rzeczypospolitej jest tylko małą częścią narodu, ale nie jest narodem. Nazywa go reprezentantem tego narodu, który władzę jego przywłaszczywszy sobie piastuje i nadużywa jej. Przemawia do niego, łechcąc jego miłość własną i interes osobisty, aby umiarkowawszy tę władzę rozumnymi i ludzkimi prawami bronił jej, bo inaczej zginie wraz z narodem. Tak wszystkich środków szuka, do obudzenia stanu szlacheckiego i doskonalenia go, do sprawiedliwości, względem stanu miejskiego i wiejskiego. Lecz kiedy po tylu naukach i radach zwraca myśl na skład sejmu i wnim na tych, którzy stawiali przez przesady, nałogi dawne, cnotliwym i prawym obywatelom przeszkody do korzystania z jedynej i niepowrotnej chwili zbawienia ojczyzny, już to nie iskra oświecająca wady i błędy narodu, wytryska z jego cnotliwego serca, już ta głowa myśląca zamienia się w gorejący wulkan, którego ogień, nie mogąc się w piersiach pomieścić, wybucha piorunami i gromami przeciw możnowładcom i w proch ich obraca. Już jego wyrzuty, zgroza, oburzenie, groźby, przepowiednia, wróż-

by, postrachy nie mają miary, miota je pełnemi us-
ty i piórem, nie wymienia osób, ale po rysach śmia-
łych i silnych poznać można i tych, którzy Poniń-
skiego potępić nie śmieli, i tych co się z sejmu nai-
grawali listami, niby przez omyłkę z Jass przesłane-
mi, i tych co wołali na sejmujących, wtenczas szlach-
cie uczuje więzy, gdy go chłop przed sąd pozwie,
i tych co krew polską podczas konfederacyi bars-
kiej na czele wojsk obcych przelewali i tych
którzy już zbrodniczy związek knuli i ich nik-
czemnych jurgieltników i tych, którzy w podat-
kach oszukali kraj i co starostw zrzec się nie chcie-
li. Język polski nie wystarcza mu do rzucenia
obelg, zniewagi, ohydy, każde słowo natężone
brzmieniem, jest w ustach jego sztychem, razem, pu-
ginałem. Przedstawiwszy obraz ich dumy, ich po-
gardy praw, ich samolubstwa zarzuca im skażenie
charakteru narodowego i za te występki i zbrodnie
przeraża ich przyszłością. Woła: gdy Polska upadnie
pierwsi panowie zniszczają i uszną, a jeżeli się
wzburzą, przypomną im się Węgry i Tekieli.

Nie będę bronił w tych gromach wyrazów
twardych, ostrych, obelżywych, *indignatio fecit
versum*. Z czucia mówił i z przekonania, a prawda
choć ostra i surowa, kiedy jest prawdą histo-
ryczną nie powinna obrażać, jakby potwarz i obel-
ga. Na ohydzenie zbrodni zdrady kraju, nie mają
słowniki dość wyrazów właściwych i Staszcie stwa-
rzać je musiał. Nie w życiu mojem nie zdarzyło
mi się czytać mocniejszego, potężniejszego, odważ-
niejszego. Nie śmiem sądzić czyli Filipiki Demo-

stenesa, mowy Cyclerona przeciw Werresowi, Katylinie, Antoniuszowi, porównane z tem pismem okazałyby tyle mocy, obruszenia i siły uczucia. Musiało to być wszystko prawdą, acz cierpką i bolesną, kiedy sejm nie poszukiwał autora i drukarza, ale jakby zawstydzony zamilkł. Wewnętrzne przekonanie o prawdzie kazało mu w cichości cierpieć zasłużoną karę. Jednak, że na prawych umysłach rady i przestrogi sprawiły wrażenie dowodem jest, że w duchu tych rad i życzeń napisano konstytucyą 3 Maja, w której lud pod opiekę praw przyjęto, miasta do reprezentacyi przypuszczono, a tron elekcyjny zmieniono na sukcesyą i elektorowi saskiemu oddano.

Radbym, aby młodzież tegoczesna tak nie douczona w rzeczach ojczystych, zamiast karmienia się mizernemi powiastkami, lichemi wierszami, zamiast babrania po śmieciach historycznych, które znakomici pisarze od historyi odrzucili, wzięła pisma Staszica do ręki, przynajmniej dowiedziały się o blisko dotykających ją sprawach i nie myliłaby się w zdaniu komu ma złorzeczyć, a kogo błogosławić.

Po ustanowieniu konstytucyi 3 Maja, Staszic z pociechą serca, ale nie bez obawy już gotujących się następności, które ten przezorny umysł, z przyspieszonego pokoju z Turkami i intryg prowadzonych w Jassach przewidywał, udał się wraz z Jędrzejem Zamoyskim i młodymi jego synami do Zamościa, do tego niegdyś przybytku sławy narodowej, na którego bramach rył Jan Zamoyski mieczem napisy: *o patria quam mihi cara es* i t. d.,

a wówczas zaszczyconego mieszkaniem sędziwego mędrca i prawdziwego Arystydesa Polski. Mieszkanie to było nęczone przez najznakomitszych i najgorliwszych obywateli. Często je odwiedzał brat rodzony pani Zamoyskiej, Józef książę Czartoryski, stolnik litewski, nadzwyczajny poseł do dworu berlińskiego. Pan oświecony, ludzki, gorliwy patriota, który na Wołyniu i w dobrach swoich w Korcu, pierwszy zwrócił dobroczynną opiekę na ludwiejski, szkółki zakładał, uciążliwe powinności uchylił i z ludźmi po ludzku obchodzić się lubił. Miasto dla zbogacenia kraju w gmachy fabryczne zdobył, fabryki zakładał, cudzoziemskich rzemieślników sprowadzał i oszczędny dla siebie, hojny był zawsze dla kraju. Ów pan, wychowany między Francuzami za granicą, nie wstydził się w słomianym kapeluszu i w skromnym ubiorze żyć między włościanami, odwiezwać i zachęcać rzemieślników i być wzorem prawdziwego miłośnika kraju i najzacniejszego obywatela, wtedy kiedy możni panowie na Wołyniu odznaczali się uciskiem ludu, obojętnością na losy kraju i wyciśnione z pracy wieśniaka dostatki na zbytek i przepych marnotrawili. Staszcie więc żyjąc w tym żywiole, tem mocniej nasiękał zasadami uszczęśliwienia ludzkości, które później z taką energią i w pismach i w czynach swoich rozwinął. W tym właśnie czasie jako już wyświęcony kapłan, otrzymał prezentę na probostwo w Turobinie, lecz spostrzegłszy, iż mu niepodobieństwem było dzielić się między obowiązki pasterza ludu i nauczyciela młodych Zamoyskich, a jako literat mając w zamiarze

IV

ważne naukowe prace, przy tem czując, że stan kapłański wymaga zupełnego poświęcenia nietylko trzodzie, ale obrządkom i pobożności tak wewnętrznej jak zewnętrznej, a nie czując w sobie, bądź skłonności bądź zdolności do niego, zrzekł się probostwa. Wkrótce umarł Jędrzej Zamoyski. Opatrzność usunęła go od widoku zbrodni targowickich. Staszcie pozostał w domu wdowy w tych samych obowiązkach, bo miał jej zupełną ufność i wywierał przeważny wpływ, równie na wychowanie synów jak na umysł matki. Było zwyczajem ówczesnym w Polsce wysyłać dzieci za granicę, szczególnie do Francyi, po nabycie ostatniego oglądzenia obywateli. Staszcie według przepisów o ordynacyi Jana Zamoyskiego i według swoich własnych zasad, które w pismach swoich o edukacyi młodzieży rozwinął, sprzeciwił się wyjazdowi ich za granicę, póki by własnego kraju dobrze nie poznali i nie położyli zasług, któreby ich do niego wiązały. Wkrótce wybuchła wojna i dzieło konstytucyi 3 Maja obalone zostało. Generał Tadeusz Kościuszko, wsławił się w niej talentem i odwagą; po przejściu wojska do konfederacyi targowickiej, Kościuszko wziął dymisyę i udał się do Lwowa. Rząd austryacki podejrzliwy, lękając się zapału, z jakim przez obywateli we Lwowie przyjmowany został, oświadczył mu przez generała komendanta Galicyi życzenie, aby się oddalił z tej części kraju, nie wzbraniając mu mieszkać w Wiedniu lub w innych prowincyach cesarstwa. Kościuszko żądał pozwolenia odwiedzenia pani Zamoyskiej w Zamościu i na kilka dni otrzy-

mał. Tam, jak mi powiadał Joachim Owidzki, zaufany powiernik p. Zamoyskiej, Staszcie, zabrawszy znajomość z Kościuszką, naradzał się z nim nad sposobami ratowania jeszcze Polski. Staszcie miał swój ulubiony systemat monarchii konstytucyjnej. Uczeń Washingtona, napojony był uczuciami republikańskimi, a nawet demokratycznymi i obzierał się na Francję. Staszcie okiem badacza zgłębił jego umysł i zdolności; o sercu i waleczności nie wątpił; ztąd często z nim rozmowy i spory o sposobach powstania Polski prowadził, którym był przytomnym Joachim Owidzki i opowiadał mi, iż Staszcie nie powziął tej opinii o Kościuszcze, jakiej szukał, osądził go mało biegłym w politycznym składzie Europy, i rzekł o nim: „to jest człowiek prawy i waleczny, lecz mało zna Polskę, a mniej jeszcze Europę. On na czele wojska, chciałby być Washingtonem, a Polski nie uratuje tylko jaki Sylla”.

Wkrótce młodzi Zamoyscy dorosli, a starszy Aleksander doszedł lat przepisanych przez instytucją ordynacyi do objęcia jej w posiadanie i wykonania przysięgi. Młodym zwykła się przykrzeć długa podległość, z szczególniej dla matek i dla tak surowych nauczycieli jakim był Staszcie. Dworacy, zawsze szukający własnego pożytku w zmianach następstwa, podmuchiwali w młodym i bogatym panu, żądze wolności i niepodległości. Młody Aleksander zaczął z początku ostrożnie i nieśmiało, następnie natarczywie i cierpko domagać się od matki, aby mu oddała to, co mu się z prawa należało. Wystawiała mu matka los młodszego plemienia

i wymagała od niego na parę lat ofiary. Staszcie zawsze surowy i nawykły do pedagogicznego względu ucznia tonu, zapomniał się w zapale żywości, że mówi do usamowlonionego ordynata, i twardym wyrazem obraził jego miłość własną. Młody ordynat nie mógł mu przebaczyć tego uchybienia. Co się, jak później opowiem, stało źródłem gorszącej sprawy, ze strony ordynata nieprzyzwoitej i ubliżającej, a dla Staszica przykrej. Po układzie, zawartym między matką a synem, który galicyjską ordynacją w zarządzie matki zostawił, a polską objął, ordynatowa Zamoyska i jej nieodstępny towarzysz, Staszcie, udali się na mieszkanie do Wiednia. Toczyła się wtenczas zajadła wojna między Francją a Austrią, na potrzebę tej wojny namnożone papiery spadały lub podnosiły się w biegu, w pomiar pomyslniejszych lub mniej szczęśliwych zdarzeń wojennych. Nabywając i zmieniając papiery bankowe, wkrótce, z oszczędzonej pensyi nauczyciela i darów pani Zamoyskiej, Staszcie znaczne summy zebrał; z tych 4,000 dukatów umieścił u p. Zamoyskiej, która, acz nie potrzebowała pieniędzy, zwykła była do swojej kassy brać kapitały Staszica i rewersa na nie wydawać. Do umieszczonej owej summy 4,000 dukatów, wkrótce Staszcie dodał dwa, a p. Zamoyska zamiast zapisać osobno na skrypcie 2,000 czerwonych złotych, cyfrę 4,000, przemieniła na 6,000, nie wiem czy z podskrobaniem, czy tylko pociąganiem pióra. Po śmierci p. Zamoyskiej, Staszcie upominał się o swój depozyt u pełnomocnika ordynata Zamoyskiego, niejakiego Karskiego, człowieka

niezręcznego, niedelikatnego, zarozumiałego, służbą i ufnością wielkiego pana nadętego, a pochlebstwy pragnącego sobie zjednać imię gorliwego o dobro pana swego sługi. Wiedział on o urazie Aleksandra Zamoyskiego do Staszica, gdy więc ujrzał skrypt poprawiony, oświadczył, że nie jest mocen tego rodzaju obligu wypłacić bez pokazania go ordynatowi; ordynata zaś uprzedził, że skrypt jest sfalszowany i poduszczył do wywołania Staszica przed sąd, zaręczając, że fabrykacyi dowiedzie. Zaczął się więc proces, słuszny ze strony nieskażonego Staszica, ohydny ze strony ucznia, godny rady nikezemnego służalca, niegodny Zamoyskiego. Staszic nie mając świadków tego, co się między nim a p. Zamoyską stało, na poparcie słuszności swego długu ofiarował przysięgę. Sąd jej dopuścił, niezręczny sługa założył odwołanie się do wyższego sądu. Znalazłem się tego dnia w Lublinie, kiedy Staszic stanął przed sądem, wszedłszy do restauracyi na obiad zastałem tam Staszica, którego już dla osiwiałych włosów i starej wytartej sukni z owego Staszica młodego, nader przystojnego, starannie się ubierającego, jakiego w dzieciństwie mojem znałem, ledwie poznać mogłem. Przypomniałem mu się jak uczeń jego, nie zapamiętał mnie i nie poznał, lecz z uprzejmością przywitanie przyjął. Schodzić się zaczęli współbiesiadnicy i zasiedliśmy do stołu, gdy nagle wszedł zadyszany, ogromnej postaci kapłan; był to ksiądz Hajewski, prałat i kanonik, proboszcz garbowski, w dobrach Michała Granowskiego, sekretarza W. koronnego, którego córkę jedynaczkę, pię-

kną i bogatą zaślubił sobie Aleksander ordynat Zamoyski. Przez te związki ten prałat, interesując się do toczącej się z Staszicem sprawy, aby pierwszy mógł donieść swemu kollatorowi o jej skutku, zjechał do Lublina, był przytomny w forum lubelskiem, i tam się dowiedział o przepuszczeniu Staszica do przysięgi i o założęj apelacyi. Obruszony, że sprawa nie poszła podług jego życzenia, w zapale oburzenia zasapany, wpadł do restauracyi, siadł do stołu i nie znając Staszica odezwał się: „Idę z forum, z sprawy tego łajdaka Staszica, który nie dość, że skrypt na panią Zamoyską sfabrykował, lecz chciał krzywoprzysięstwem poprzeć swoją niegodziwość. Musiano założyć apelację od wyroku, a spodziewam się, że ten fałszerz pójdzie do sądu kryminalnego i będzie z ohydą sukni naszej, którą nosi, kajdanami brzękał“. Próżno chciałem zwrócić rozmowę na inne przedmioty, prócz mnie nikt Staszica nie znał. *Obtrectatio et livor pronis auribus accipiuntur*. Ksiądz rozszerzał się z obelgami na nieszczęśliwego Staszcia. On, nieznięszany, zmarszczył brwi, spuścił oczy i jadł spokojnie. Gdy się obiad skończył, ścisnął mnie za rękę i biorąc kapelusze przystąpił śmiało z groźną powagą, którą sobie nadać umiał do księdza prałata i zapytał go głośno: „Czy WPan znasz księdza Staszica?“ „Nie znam i nie chcę znać tego oszusta“. „Otóż ja nim jestem“, odpowiedział Staszic, „nie ja jak WPan mniemasz, ale WP. hańbisz tę sukienkę. WPan kapłan coś powinien karcieć obelgi, potwarze i obmowy, sam śmiesz szarpać sławę niewinnego człowie-

ka, którego charakteru nie znasz. Wiedz WPan, że moja dobra sława, nie zależy od tak występnych ust. Przebaczam W. Pana nierozum, ale gardzę i potwarzą i potwarcą“. I to rzekłszy wyszedł, zostawiwszy pralata tak pomięszanego i upokorzonego, że jak to pospolitem wyrażeniem wysławiają się, języka w gębie zapomniał. Zbladł i drżał, tak to występek na gorącym uczynku schwycony, obudzonym w sobie wyrzutem sumienia mięsza się, traci przytomność i niemieje. Od tej chwili przez lat kilka nie spotkałem Staszica, lecz ta sprawa skończyła się z tryumfem dla niego. Aleksander Zamoyski dopuścił się tego błędu, lecz był pan zacny nie wyrodny syn Jędrzeja. Wkrótce pod niezręczną ręką lekarza, który przecinając mu wrzedzionkę na karku, uszkodził mu arteryę, w kwiecie wieku skonał. Brat jego rodzony młodszy, ożeniony z Zofią, księżniczką Czartoryską, księcia generała ziem podolskich córką, odebrał tę smutną wiadomość w Londynie, gdzie z młodą i najpiękniejszą z Polek żoną bawił. Gdy pośpieszył do kraju po odebranie spadłej na siebie ordynacyi, stary książe, generał Czartoryski, rzekł do niego. „Stasiu, przy objęciu ordynacyi, jedną rzecz dla mnie uczynisz, każ umorzyć gorszący proces ze Staszicem, bo on was krzywdzi. Jeżeli Staszic sfabrykował dokument, czego ja nie przypuszczam, co będą wróżyć po wychowawcach i uczniach fałszerza, jeżeli nie sfabrykował, jaka ohyda dla uczniów tak haniebny czynić mu zarzut, i zaprzeczać zasłużonej nagrody, *sive vinco sive vincor semper tamen ma-*

culor, proszę więc, nie słuchaj podlej rady służalców i każ zapłacić, bo inaczej ja zapłacę". Stanisław Zamoyski miał szlachetne serce, kazał zapłacić i sprawę umorzyć. Czas ubiegły między śmiercią ordynatowej Zamoyskiej i rokiem 1806 Staszic poświęcił naukom i rozpoczętym przez siebie literackim dziełom, równie jak podróżom po kraju. Biegły w historii naturalnej i geologii, chciał sprawdzić na ziemi polskiej system Buffona. Zapłacił myśl badawczą pod powierzchnię ziemi polskiej, zwiedził łańcuch Karpatów, śledził ich powinowactwo z innymi górami świata, i jak Pascal na szczycie gór alpejskich, tak Staszic ze szczytu Krępaka rozważał ich pierwszą przedpotopową posadę, zmianę potopową, ich warstwy wewnętrzne, mierzył jeziora na nich, uważał napływy kruszyn na płaszczyznach, wdzierał się w głąb ich jaskiń i pieczar, wysledzał w nich skarby, kruszce, kamienie i sole, przenosił się na płaszczyzny i znowu wdzierał się na szczyty niebotyczne, podróżował po całym kraju niegdyś Polską zwanym, uważał ustępy mórz, głębokości rzek, stworzeń już zagubionych ślady, różnicę ludu na górach i na płaszczyznach, zdjął mapę z miejsc zwiedzanych, i wydał ze swej podróży, nieśmiertelne naukowe dzieło w dwunastu uczonych rozprawach o Karpatach, z bogacił go tabelami miejsc, gdzie mógł wnioskować, lub rzeczywiście znalazł odkryte te skarby wewnętrzne, których poszukiwał. Dzieło niesłychanej pracowitości i wytrwałości, nieoszacowane dla Polaków z wiadomości nietkniętych przez żadnego z uczonych na-

szych, ważne dla Europy, bo dające poznać obcym narodom całą ziemię Słowian, o których już wtedy wnosił, że w rękach swoich mieć będą złożone losy i przeznaczenia Europy. Dzieło godne być tłómaczonym na obce języki, którem autor Polak wszedł w poczet głębokich badaczy tajemnie nieba i ziemi. Nie jest dla mnie przystępną nauka geologii, nie potrafię sądzić, jak daleko są pewne, i do jakiego stopnia usprawiedliwionemi być mogą wnioski Staszica o ziemioródtwie, o przeszłych zmianach powierzchni ziemi, i o przepowiedzianych, które podług niego nastąpić mają, lecz kiedy w tem dziele czytam wszędzie dla kogo? na co? i w jakim celu tę pracę z taką niezmordowaną usilnością, z takim szafunkiem sił przez kilkoletnie podróowanie po kraju, rozpoczął i wykończył, gdy w każdej i przy każdej rozprawie znajduję zwrot myśli do ojczyzny, i to wyznanie, że to jedynie dla Polski, dla Polaków, dla ziomków, przez miłość tej ziemi, tej ojczyzny, tego rodu, z którego pochodził, przedsięwziął, aby tę ziemię, choć już niepodległości pozbawioną, dać we wszystkich na powierzchni będących, i wewnątrz ukrytych skarbach obcym narodom poznać, aby wiedziały, jaki kraj, jaki lud bytu samoistego pozbawiony został, gdy czytam tę gorącą apostrofę do młodzieży polskiej: „Nie wolno już wam być bohaterami, jakimi byli wasi przodkowie, bądźcież ludźmi oświeconymi, uczonymi, pracowitymi, moralnymi i cnotliwymi, uczenie się poznawać tę ziemię, która was zrodziła, oddajcie się naukom rolnictwa, przemysłowi, wynalazkom; coraz

więcej przywiązuje się do tej ziemi, kochajcie i wstawiajcie ją⁷. Kiedy przebiegam okiem te wyrazy zwrócone do możnych panów: „Przestańcie podróżować za granicą, marnować dostatków między obcymi z ziemi ojczyznej zabranych, dajcie, dajcie z siebie przykład, obróćcie je na ulgę włościanom, na ozdobę tej ziemi, na zakłady przemysłu i handlu. Niech domy wasze będą świątynią obyczajów narodowych, niech w nich młodzież nawyka do miłości ojczyzny, do moralności, do enoty, do pracy. Paść może naród wielki, zniszczyć nie może tylko nikiemmy⁷. Przejęty czcią i uwielbieniem dla autora, dzięki składam Opatrzności, że Polsce dała Staszica.

Radbym, aby uczone rozprawy jego o Tatrach, po których z niebezpieczeństwem życia podróżował, młodź polska brała czasem do ręki. Jakże ta podróż jest malowniczą, jak razem poetyczną, filozoficzną i patryotyczną, jakie bogactwo górniczego języka, jaki nowy słownik wyrazów silnych, brzmiałych, właściwych, prawie z rumowisk tych gór wydobyty, tak, że wyrazy te grzmą to jak burza w Tatrach, i na Krępaku, to szumią, jak wezbrane potoki, tak, że czytającemu zdaje się, że jest przy Staszicu, że widzi te cuda natury przed sobą. O tem poetyczno opisującym dziele, a raczej o autorze rzecz można bez pochlebstwa, co powiedział Horacyusz o Pindarze:

Monte decurrens velut amnis i t. d.

Atoli i tego trudno zataić, że Staszic w swoim uniesieniu poetycznem przekształcał, przecinał znajome i używane wyrazy, mniemając, że przez to kaleczenie języka dobitniejszym go czyni, i tak na przykład orzeł u niego nie ma dzioba, ale *dziobon*. Staszica styl nie jest do naśladowania i o tem słusznie ostrzegł Szweykowski.

Wkrótce zebrawszy swoje sumy i korzystając z pory, w której rząd austriacki wyniszczony wojnami, starostwa w Galicyi zachodniej sprzedawał, kupił na dziedzictwo za kilka kroć stotysięcy, starostwo hrubieszowskie z miastem, położone w najżyźniejszej ziemi niegdyś województwa bełzkiego, zatrudnił się jego gospodarnem urządzeniem, i nawet z ulgą ludu podniósł intratę pobieraną do stu tysięcy złotych. Oddany zawsze naukom, trawił czas na posuwaniu dzieł literackich, oczekując wypadków z toczącej się wojny. Już była weszła do grobu Katarzyna II, Paweł I monarcha gwałtownego charakteru, lecz wspaniały, otworzył więzienia jęczącym Polakom w lochach Petersburga i w syberyjskich jaskiniach. Kościuszko, Niemcewicz, Ignacy Potocki, Mostowski odzyskali wolność udania się do swojego lub do obcych krajów, uwalniając rzekł do nich: „Gdybym był panował w chwili rozbioru Polski, nigdybym był nie pozwolił na jej podział, teraz nie w mojej mocy zwrócić to, co się już stało”. Król Stanisław August wezwany został z Grodna do Petersburga na mieszkanie, książęta młodzi Czartoryscy powołani na adjutantów do wielkich książąt, następca tronu Aleksander, uczeń La-

harpa, piękny, młody, ludzki, wspaniały, oburzający się na gwałt uczyniony Polsce, powziął szczególną przychyłność do księcia Adama Czartoryskiego, na którego smutnej twarzy nieszczęścia jego ojczyzny malowały się. Wiedziano w Polsce, jakim był książe Adam dla kraju, i z tych szczęśliwych związków snuto nadzieje dla Polski, chociaż jeszcze dla czerstwego zdrowia Pawła I odległe. W Polsce, mimo klęsk zadanych sobie wzajemnie z Rosyanami, bądź z przyczyny długiego ich goszczenia w kraju, bądź podobieństwa obyczajów, któremi tak łatwo, jak oni od obcych przejmujemy, bądź z wspólnego rodowego pochodzenia wypływało uniej nieprzyjazne usposobienie, jak względem innych sąsiadów, którzy nas dumą swoją upokarzali. Rosyanie nie zaprzeczali Polakom wyższości w cywilizacji, inne ościennie narody z natrząsaniem się i pogardą barbarzyńcami nas mianowali. Rosyanie i Polacy mogli być, jak dwaj szermierze równą bronią z sobą walczący, zajadli wśród boju, lecz którzy, zadawszy sobie rany, broń rzucają, podają sobie dłonie i żyją w zgodzie. Tego nas uczy historia, toby zaświadczyli starzy Polacy, na to ja w młodości patrzałem. Staszcie był z liczby tych, którzy także z tego włókna snuli pasmo nadziei. Wkrótce Fryderyk Wilhelm II umarł. Młody syn jego wstąpił na tron, z dobrem sercem i szlachetnym charakterem. Nie będąc sprawcą podziału Polski, nie miał powodów nienawidzić Polaków. Następnie Paweł I nagłą śmiercią porwany został. Aleksander, ów Aleksander oczekiwany, życzony wstąpił na

tron i powierzył księciu Adamowi Czartoryskiemu zastępstwo ministerstwa spraw zagranicznych. Na stały dla Polaków łagodniejsze i pełne nadziei czasy, kiedy z ręki tego wspaniałego monarchy, przez ręce powiernika jego lały się dobrodziejstwa dla narodowości polskiej, dla nauk, dla oświecenia, kiedy garnięto do Wilna, do Krzemieńca rozproszonych członków akademii krakowskiej, kiedy brat cesarski W. książę Konstany w odwiedzinach możniejszych domów polskich na Wołyniu ujmował uprzejmością umysły mieszkańców płci obojej, kiedy wśród wojska rosyjskiego zjawily się pułki pod barwą polską, przypominające orszaki narodowe, kiedy w senacie rosyjskim zasiedli znani z przywiązania do kraju Polacy, kiedy rodowitych i cnotliwych Polaków wezwano na gubernatorów prowincyi, które niegdyś zasmucone, teraz z nieprześladowaną swobodą mówienia weselszą i pełną nadziei przybrały postać. Z drugiej strony stolica dawnej Polski, Warszawa, także pod łagodniejszym odetchnęła rządem. Już wyżej powiedziałem, iż król pruski ją nawiedził, zezwolił na otwarcie teatru narodowego, na pisma naukowe i peryodyczne w języku polskim. Legioniści polscy, po rozwiązaniu legionów przez Napoleona, znaleźli wolny przystęp do krajów pruskich, Krasicki, arcybiskup gnieźnieński wyjednał Dmóchowskiemu wolne mieszkanie w Warszawie, który zaczął wydawać Pamiętnik literacki. Mostowski założył drukarnię i dzieła polskie przedrukowywać w niej zaczął. Moźni, uczeni, patryoci niedawni więźniowie zbiegli się do War-

szawy. Ożył więc duch narodowy, ruch umysłowy się objawił. Krasicki znowu pisać zaczął. Molski odezwał się w tłumaczeniu Eneidy na Wirgilego lutni, Osiński dał się poznać, Linde, pierwszy tom swego słownika wykończył. Stanisław Potocki, Soltik eks-podstoli koronny i żona jego otworzyli domy dla uczonych Polaków, wkrótce powzięli zamiar zawiązania Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Krasicki na nie wyrobił upoważnienie u króla pruskiego.

Zaraz co tylko Polska miała najznakomitszego w naukach i talentach cisnęło się do tego związku. Na czele jego stanął Albertrandi najuczestszy z Polaków, i powszechnie polihistorem polskim zwany. Przybył do niego Kollataj za wpływem cesarza Aleksandra z ołomunieckiego więzienia uwolniony. Czacki gorliwy i czynny, ufność obydwóch rządów posiadający, pisał, zachęcał i był duszą ożywiającą Warszawę, nim się oddalił na Wołyń, i nieśmiertelny zakład gimnazjum krzemienieckiego, ze składek obywatelskich przedsięwziął. Zgoła z tego niedawno martwego ciała, cień ojczyzny prześliznął się przed oczyma najmniej wierzących w zmarłychwstanie. Chwile nadziei częstokroć są szczęśliwsze od spełnionej rzeczywistości. Zważając dziś następstwa tej długiej walki, że to ciało polityczne, nie bez gwałtownych cierpień do życia przywołane, nigdy zupełnego nie odzyskało zdrowia, że w niem został zawsze zaród konwulsyi, z któremi pasując się znowu do grobu wtrącone zostało, czasy owej nadziei, czasy prawdziwej pomyślności umysłowej i materyal-

nej sprawiedliwie nazwane być mogą pomyślniejszemi od tych, w których w części tylko marzenia i oczekiwania spełnione zostały. Odgłos z stolicy obudził w Staszicu wszystkie jego uczucia, mniej może, jak człowieka politycznego, niż jak literata. Porzucił więc Hrubieszów i samotność i z swemi naukowemi i materyalnemi zapasami udał się na mieszkanie do Warszawy. Ledwie tam stanął, już się stał duszą tego naukowego i umysłowego ruchu, poszukiwany od uczonych, wiąże się z nimi, zostaje członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, członkiem niezמודowanym, najczynniejszym, najgorliwszym, a nadewszystko najhojniejszym. Towarzystwo utrzymywało się jedynie ze składek członków, zbierało się na sesye po prywatnych domach Sołtyka i Stanisława Potockiego. Nie miało sali na publiczne posiedzenia. Staszic zaraz temu zaradza hojnemi ze swych zbiorów ofiarami. Najmuje obszerny dom na Kanoniach, urządza w nim salę na publiczne zebrania. Na druki, na pomoc uczonym nie szczędzi wydatków. Na każdym prawie posiedzeniu, czytaniem uczonych rozpraw, tłumaczenia Iliady, wyjątków rozpoczętego dzieła o „Rodzie ludzkim” ożywia te zgromadzenia i staje się wagą tego zegara, która ciężaniem swoim porusza wszystkie sprężyny i ruch ich ułatwia. Tai swoje polityczne marzenia i nadzieje, bo przezorny i pamiętny pod jakim rządem żyje, i co przeciw temu rządowi pisał, nie chciał ani osoby swojej na podejrzenie, ani dozwolonej narodowości polskiej na zgubę narażać. Wyłącznie więc naukom oddany, przetrwał czas do najmniej

spodziewanej chwili, w której Napoleon wyzwany przez monarchię pruską do wojny, jednym trąceniem ją obaliwszy, stanął z ogromnemi na ziemi polskiej zastępami. Staszic doświadczonym i przezornym umysłem, wążąc z obu stron zabłyśnię nadzieje, zdaje się, iż powziął przekonanie, że Francya za późno się spostrzegła w swojej odwiecznej polityce, którą była zaniedbała, że Rosya w pojęciu swego interesu ją uprzedziła. Przytem pamiętał on postępowanie Napoleona z legionami polskimi, traktat w Campo Formio, widział samowładztwo nad Francją, podboje i zdobycze na Europie, krwawe i okropne wojny, ztąd cierpienia całej ludzkości, której on był zawsze obrońcą i patronem, chwałę zamiast wolności, nie dał się więc zaślepić ten nieugięty filantrop, i zdaje się z milczenia jego w tym czasie, w którym entuzjazm dla tego bohatera świata uniósł wszystkie umysły polskie, że względem Napoleona był jednego zdania z Kościuszką. Jakkż z zasad wyznawanych przez obu tych mężów wnosić można, że Kato polski tak myślał, jak uczeń Washingtona. Tym wnioskiem można sobie tłómaczyć jego postępowanie więcej oczekujące, niż zapalem ożywione; jednak w miarę postępu wojny i nabierania pewności o zamiarach nowego wskrzesiciela, czynność jego ożywiła się przez związki i przyjaźń z członkami, komisję rządzącą składającymi, szczególnie z Potockim, z Wybickim, z Gutakowskim, z Sobolewskim. Wpływał więc do natchnienia ich temi zasadami do przyszłego urzędowania tego kraju, jakie dla ludzkości głosił, jakie nie-

zmiennie wyznawał, jakie uiszczeniem mieć pragnął. Wiedział on, że ulubioną Stanisława Małachowskiego, niegdyś marszałka sejmu 1788 r., a teraz prezesa komisji rządzącej, męża cnotą i powagą przeważnego w opinii ziomków, jest idea z powrotem Polski powrotu konstytucji 3 maja. Staszic, który podczas sejmu konstytucyjnego ustąpienia przesądnego stanu szlacheckiego za niedostateczne, lecz tylko jako początkiem dobrego będące uważał, teraz mniemał, że gdyby się przy swych przesądach stan ten upierał, raczej narzucić mu sprawiedliwość względem reszty ludu należy, jak cierpieć nadużycia. Z tej przyczyny, uczęszczając do domu Małachowskiego, żywemi przełożeniami i radami pragnął u niego wyjednać porównanie stanów, równość zupełną w obliczu prawa, równą zdolność do urzędów, równą sprawiedliwość dla wszystkich. Małachowski nie łatwo odstępował swojego przekonania choćby przesądnego, na poparcie jego miał za sobą wiek, doświadczenie i powagę, a z natury był żywy. Staszic, uparty w swoim zdaniu, nie dość baczny na wyrazy, sądził, że przy prawdzie, godzi mu się obstawać bez względu na osoby. Ztąd przyszło raz między nimi do tak gorącego sporu, że Małachowski, wyrzucając Staszicowi jego demokratyczne zdania i pisma, i obwiniając go o szkodliwą demagogię, drzwi przed nim zamknął. To słyszałem z ust generała Wincentego Krasińskiego, obecnie tej żywej rozprawie. Zuiósł tę obelgę Staszic mężnie, bolejąc, że ludzkość w Polsce jeszcze w najcnotliwszych mężach obrońców nie miała. Nie prze-

stawał wpływu wywierać na innych członków, a gdy w utworzeniu przez traktat tylżycki Księstwa Warszawskiego, w konstytucyi przez Napoleona nadanej, ujrzał mniej wolności, a ludzkości więcej, gdy spostrzegł ledwie nie wszystkie swoje życzenia i rady spełnione, przywiązał się duszą i sercem do dzieła. Wezwany przez Fryderyka Augusta księcia warszawskiego na referendarza stanu; wezwanie to od pobożnego monarchy, mimo opinii religijnych, jakie wyznawał, uznał za pochlebne świadectwo swoich zasług, swojej gorliwości i cnoty, i stopień, acz nieodpowiedni wiekowi i znaczeniu w opinii powszechnej, przyjął. Wkrótce wyniesiony zotął wraz z Aleksandrem Linowskim na stopień rady stanu, wezwany do dyrekcji oświecenia publicznego, i po śmierci Albertrandiego jednomyślnie wybrany na prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Poświęcił się tym trzem obowiązkom z całą gorliwością i czynnością niepokonanego ducha. Wspierał radami swemi ministrów, i w 1807 r. wydał szacowne pismo o statystyce Polski, w którem okazawszy z nieomylnych podań obszerność kraju, wysiewy, dochody, wykazuje ile po uwolnieniu od rządu obcego płacić może podatków, dochodzi tego przez dokładny rachunek i zaklina ziomków, aby chętnie na utrzymanie własnego żołnierza do tych skłonili się składek, które wymuszonym sposobem płacić musieli ulegając cudzoziemskiej władzy. Wskazuje stosunki handlowe z Francją, zachęca do zamiennego handlu. Nie pominął chwili zbliżającego się sejmu 1808 r., napisał gorącą odezwę, w której upomina to nowe zgroma-

dzenie, aby spokojnem i rozważnem postępowaniem zaprzeczyło tym zarzutom i potwarzom, któremi nieprzyjaźni nowemu istnieniu kraju sąsiedzi starają się odjąć mu współczucie Europy. Zaklina o złożenie podatków, o utrzymanie dostatecznej siły zbrojnej, zbawienne daje rady, zachęca do cierpliwości i stałości: „Pomnijcie, że tylko nizezemy, będąc uzbrojonym, powraca znowu do niewoli“. Niestety! nie na wszystkich skutkowały jego słowa. Młody trybun, Józef Godłowski, poseł maryampolski wystąpił z wyrzutami przeciw rządowi Księstwa Warszawskiego, zgromił je Aleksander Linowski, młody poseł wzburzył sejm do tego stopnia, że zasłużony urzędnik z ławki swojej ustąpić musiał, i ledwie mowa Woronicza i poselstwo od króla uspokoić zdołały wrzące umysły. Staszcie bolał nad tym wypadkiem. (Podczas wojny 1809 r. między Francją i Anglią, widząc Księstwo Warszawskie przez Napoleona zostawione własnym siłom, a na przypadek napadu Austryaków powierzone zajęciu wojsk rosyjskich, powziął podejrzenie o nieszczerości lub niemożności ze strony Napoleona uiszczenia zamiarów, któremi nadzieje Polaków kołysał. Zdaje się, że już wtenczas odżyły w Staszycu dawne jego marzenia o połączeniu się w jedno ciało całej Słowiańszczyzny pod berłem rosyjskiem. Chociaż to było jawną i niezaprzeczoną rzeczą, że świetne księcia Józefa Poniatowskiego nad Austryakami zwycięstwa i same podbicie Galicyi mężstwem jego wojska, bez wygranej przez Napoleona bitwy wagramskiej, na nieby się były nie przydały i że tylko po-

tęga Napoleona wydarła Galicyę zachodnią i część wschodniej austryackiemu państwu, lubo okazało się skutkiem, że Napoleon rozpoczynający tę straszliwą wojnę nie zapomniał o Księstwie Warszawskiem, lecz nie chcąc sił swoich rozdzielać w obronie sprzymierzeńców, głębokością swojej polityki wciągnął do zasłonięcia tego zawiązku Polski, jednego z jej nieprzyjaciół, z dziwną zręcznością, przecież Staszcie urazy do niego nie tail. Gdy albowiem, usunawszy się z rządem Księstwa do Torunia, po oswobodzeniu kraju wracał przez Tykocin do stolicy i gdy tam pod posągiem Czarnieckiego obchodzono uroczystość zwycięztw odniesionych, Staszcie wobec osób do rządu należących wystąpił z pochwałą bohatera i narodowego męztwa. W mowie tej całą chwałę z uwolnienia Galicyi wojsku narodowemu i wodzowi jego przyznał, a nie o Napoleonię i jego dla Polski dobrodziejstwach nie wspominał. Zdaje się, że zawiedziony w nadziejach przyłączenia obydwu Galicyi do Księstwa, za tyle krwi przelanej, za tyle przysług oddanych, sądził, że nie dosyć wynagrodzeni byliśmy. Przysługi te były istotne, działaniem swoim książę Poniatowski zerwał siły austryackie, paraliżując korpus arcyksięcia Ferdynanda, a przez to czynnie przyłożył się do zwycięztwa pod Wagram i pokoju presburskiego. Po przyłączeniu Galicyi zachodniej i części wschodniej do Księstwa Warszawskiego, z mocy powyższego traktatu powiększoną została Rada stanu nowymi z Galicyanów członkami. Wezwany na referendarza stanu, zastałem już Stanisława Staszi-

ca radcą stanu, razem członkiem izby edukacyjnej i prezesem po śmierci Albertrandego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk zastałem go czynnie i gorliwie pracującego w tych trzech zawodach, używającego powszechnej czci i poważania w Radzie stanu, a szczególną złożoną przyjaźnią z ministrem skarbu, Węgleńskim i z radcą stanu, Ignacym Sobolewskim. Zbliżyłem się raz do niego. Pochlebnemu o mnie uprzedzeniu Marcina Badeniego, męża prawnego, oświeconego i powszechnie w kraju cenionego, winienem przychylność ku mnie Stanisława Staszica, która wkrótce zamieniła się w stałą, wierną i chlubną dla mnie przyjaźń tego męża. Wiedział on o mojem zamiłowaniu literatury krajowej, czytał moje patryotyczne ody, i ciągle widząc moje prace i w Radzie stanu i naukowe, wkrótce mi wyjednał wybór na honorowego członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Mowa pochwalna, którą oddałem cześć stosownie do przepisów, zasłużonemu w naukach i ubylemu z grona Towarzystwa, księdzu Nagurczewskiemu i znajomość kilku wyjątków z Ziemiaństwa polskiego, które właśnie pisałem, zjednały mi wybór na czynnego członka i w zagajeniach Staszica zaszczytne wspomnienie. O jakże z zgasłymi ludźmi z posunięciem się wieku, czasy i mniemania zmieniły się. Co chwalonem dawniej było, to przez nowe pokolenie zdeptanem i zbeszczeszczonem zostało.

Klaskano w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, winszowano mi tryumfu, gdy Ludwik Osiński czytywał na publicznych posiedzeniach wyjątki z me-

go „Ziemiaństwa”. Dziś pan Wójcicki osądził mnie za czolgacza po śladach Wirgiliusza, a pani Klementyna Hoffmanowa, acz z wielu miar zasłużona przez swoje użyteczne dla młodzieży żeńskiej dzieła autorka, bez znajomości języka łacińskiego i literatury rzymskiej, z której wzór wzięty był mi przewodnikiem w tym poemacie, zawyrokowała, że jest lichy, płaski, nienarodowy. Zarzuciła mi opuszczenie tego, co właśnie w nim się znajduje. Nie gniewa mnie ani dziwi ten sąd dzisiejszy, bo kiedy napadam w zbiorze gawęd Wójcickiego krotoczwilną ich ozdobę, znaną anegdotę o jednym trefni-siu, który panny ciekawe zwiódł ukrytym pod kapeluszem niby ptaszkiem, po którego sięgając powalały sobie palce, z pokorą wyznaję, iż nie czuję się zdolnym do zaprawiania pism moich podobną wonią, i wolę wzory czerpać w Wirgiliuszu, jak w autorze tego rodzaju gawęd. Równie kiedy czytam pośmiertne pisma pani Hoffmanowej i znajduję w nich ustępy niegodne przewodniczki młodych naszych dziewic, lub zwierzenia się publiczności, że raz ubrawszy się ładnie, wcale była nie szpetną, my, którzyśmy znali p. Hoffmanową, wydziwić się nie możemy tej miłości własnej, z którą się wydała, a którą uczennicom swoim zawsze poskramiać radziła. Duch terażniejszej literatury, która wydała tak mało dobrych wzorów, a tak wiele zarozumiałych krytyków przeszłości, spowodował mnie do napisania do mojej synowicy, Zofii Przewłockiej, przepisującej pięknem pismem moje poema, kilkunastu wierszy, które tak zakończyłem:

My się na sędzie wieków nie omylim
Szukajmy w wzorach dla pióra zapasów,
Chlubniej być głupim z Homerem, z Wirgillim,
Niż geniuszem tych czasów!

Wracam do Stanisława Staszica. Staszic, zasiadając w dyrekcji edukacyjnej pod gorliwym jej prezesem, Stanisławem Potockim, był najczynniejszym jego doradcą i pomocnikiem, a razem funduszów na wychowanie młodzieży przeznaczonych najgorętszym obrońcą. O te fundusze, pieczy ministerstwa spraw wewnętrznych powierzone, od początku Księstwa Warszawskiego, wszczął się spór między ministrem sprawiedliwości, ministrem spraw wewnętrznych i dyrekcją i ciągnął się przeszło trzy lata. Z mocy praw polskich i ustaw trzech sejmów, egzekucya tych funduszów od posiadaczy dóbr pojezuickich, oddaną była komisji edukacyjnej z mocą wyłączenia niespłacających tych dochodów. Rządy pruski i austriacki, zachowały pod tym względem urządzenia praw polskich. Rada najwyższa Księstwa Warszawskiego, przez Napoleona ustanowiona, moc prawom polskim w całej rozciągłości powróciła. Po nadaniu i ogłoszeniu konstytucyi dla Księstwa, sądy tego Księstwa zaczęły się mięszać do egzekucyi tych funduszów i zaprzeczyły legalności egzekucyi administracyjnej, równie jak prawa wyłączenia, do którego same tylko mieć wyłącznie prawo mniemały. Nastąpiła więc kollizya między władzami tem popularniejsza, że possesorowie dóbr pojezuickich sądzili, że są nieograniczonymi właścicielami tych dóbr i ich hipoteki licznemi obciąż-

zali długami. Dyrekcya zaś edukacyjna uważała ich jako wiecznych lecz warunkowych posiadaczy i egzekwowała należne od nich opłaty administracyjnie przez prefektów, a nie uiszczających się wywłaszczając. Sądy przez swoich komorników wypędzaly egzekutorów administracyjnych pierwszeństwo przed funduszami edukacyjnem, dając długom prywatnym. Na próżno dyrektor edukacyi Stanisław Potocki, wzywał ministra spraw wewnętrznych, jako opiekuna, aby okrył swoją powagą i zabezpieczył od uszczerbku, te na cel tak święty przeznaczone dochody, Łubieński minister sprawiedliwości, wymógł na słabym ministrze spraw wewnętrznych, Łuszczewskim, iż ten niesprzeciwiał się pierwszeństwu egzekucyi sądowych, a naglony od dyrekcji edukacyjnej obranej z możności opłacenia nauczycieli i zagrożonej rozpadnięciem się ciała naukowego, zwłóczył wniesienie sporu jurysdykcyjnego do Rady stanu. Przez trzy lata próżnemi były prośby, przedstawienia i nalegania, nakoniec na silne naprzykrzania się Staszica spór ten dopiero w roku 1812 wniesiony do Rady stanu został. Wtenczas Staszic wezwawszy do siebie najbieglejszych, a razem niepodejrzanych w prawości prawników i zasiągnąwszy ich rady i zdania, wygotował sam z wielką pracą i z głęboką znajomością rzeczy obronę funduszków edukacyjnych i na posiedzeniu Rady stanu, z całą energią swego charakteru, z całym zapalem cnotliwej i o dobro młodego plemienia gorliwej duszy wystąpił z nią. Jest ta jego obrona umieszczona w zbiorze dzieł jego. Pragnąłbym, aby późne plemie ją czytało dla dowie-

dzenia się komu winno to oświecenie, które pobiera i aby uczuło świętą powinność wiecznego czeżenia popiołów swego prawdziwego opiekuna. Gdy przyszła ta materya do dyskusyi Rady stanu, Stanisław Potocki wymownie, gorliwie, mocno poparł obronę Staszica. W Radzie stanu przecież różne objawiły się zdania. Wszyscy teoretycy pruscy popierali ministra sprawiedliwości, broniąc nienaruszalności prawa własności kredytorów w dobrej wierze powierzających na hipotekę kapitały. Wtenczas Staszic, uniesiony zgrozą, zawołał z zapalem: „Cóż to ja widzę, w Radzie stanu Księstwa Warszawskiego, targających się na tę świętość funduszu, którzy enotliwi obywatele w roku 1775, zdrajcom i łupieżcom ojczyzny wydarli. Ci sami zdrajcy i łupieżcy co śmieli kraj zaprzedać odstąpili części swoich łupów na wychowanie swoich dzieci. Żli obywatele nie śmieli być złymi ojeami. A tu widzę ojców familii poświęcających los i dolę swojego plemienia, dla kogo? Dla marnotrawców i złoczyńców, dla wykrętaczów prawnych, co wiedząc jaka jest natura tych dóbr, podstępnie poweiskali się do hipoteki. Znali oni prawa wyraźne, są one w voluminach legum i niewiadomością zasłaniać się nie mogą. Ciemni ojcowie zgubili kraj, my go dźwignąć chcemy, a sposoby oświecenia naszym potomkom odejmujemy. Niech się więc Polska nie spodziewa powstać, a gdyby nawet jakim cudem powstała, zgubi je młode, a z naszej winy ociemniałe plemie”.

Na te wyrzuty Staszica, podobne do ostrych sztychów, których przy nieugiętości swojego cha

rakteru w obronie prawdy i sprawiedliwości użył, jedni z członków Rady stanu zamilkli, drudzy się zawstydzili, wielka część śmieiej wnioski jego poparła i wbrew przedstawieniu ministra sprawiedliwości, prawie jednomyślnie przełożenie dyrekcji edukacyjnej przyjętem i pod wyrok królewski poddanem zostało. Król potwierdził zdanie Rady stanu, a tak chwała i zasługa ocalenia funduszów edukacyjnych przy Stanisławie Potockim i Staszicu jako najgorliwszym ich obrońcy pozostała.

Zarzucano niekiedy Staszicowi uporeczywość, przy jego teoretycznych systematach i pomysłach. Zarzucano z pierwotnego wychowania wyczerpaną surowość i ostrość w tłumaczeniu się, aż do obrażania względów przyjętych i zachowywanych w wykształconem towarzystwie, zarzucano mu nawet zbytnią zarozumiałość i ufność w sobie i że nieugiętość swego charakteru, aż do niewyrozumienia i twardości serca posuwał. Może Staszic, zajęty jedynie dobrem kraju i pomyślnością całej narodowej ludzkości w szczególnych wypadkach, dostarczył do posądzenia siebie powodów, może zamysłając uszczęśliwić ludzkość, niekiedy zapomniał, że szczęście ogólne składa się z pomyślności pojedynczych osób, może znając wady i nałogi swojego narodu i pragnąc je wykorzenieć, nie zawsze był trafnym w wyborze środków, może nie pomniał, że zawstydzając i obrażając indywidua, niepoprawia ich, ale w zaciętość popycha i sam sobie stawiał przeszkody do najzaczniejszych i najszlachetniejszych zamiarów, przecież w żadnym względzie złego i twardego ser-

ca przypisać mu nie można. Następujący wypadek, którego byłem świadkiem, poprze moje twierdzenie.

Przy rogatkach warszawskich, obok komor, były ścieżki od wchodzących do miasta i wychodzących wydeptane, któremi piesi przechodnie mijali komorę. Gdy ztąd odkryły się przemyciana towarów, minister skarbu wydał rozkaz do pisarzów komór i strażników, aby uczęszczania tych ścieżek zabraniali przechodniom i na komorę zwracali. Staszic niewiadomy tego rozkazu, zwykł był rano wychodzić za rogatki z książką, lub z sexternem własnych pism w ręku i tam na wolnem powietrzu czytywał lub pomysły swoje na papier prznosił. Jednego pięknego poranku, jak zwykle w niepozornym ubiorze, wyprawił się był na przechadzkę i właśnie udał się zakazaną ścieżką. Strażnik komory spostrzegłszy nieznanego sobie przechodnia, zawołał na niego groźnym głosem: „Wróć się”. Staszic czy niedosłyszał głosu strażnika, czy niezważał na niego, zamysłony szedł dalej. Strażnik podchmielony trunkiem, podskoczył do niego i chwyciwszy za kark, gwałtem zwrócił go z drogi; a chociaż Staszic rzekł do niego: „Nie znasz mnie, jestem radcą stanu, jak każdemu tak i mnie wolno tu chodzić”. Z lichego ubioru Staszica, nie wierząc mu, uderzył go i obalił na ziemię. Ludzie nadchodzący obronili Staszica, od gwałtowności pijanego strażnika i zastłonili odrazów. Staszic prosto z przechadzki z całym obruszeniem udał się ze skargą do ministra skarbu, żądając surowego i przykładowego ukarania występne-

go winowajcy. Minister Węgleński natychmiast zru-
cił i na zawsze ze służby oddalił strażnika, lecz
Staszie nie poprzestał na tem, wymagał, aby był
oddany pod sąd i według prawa nie tylko surowo
ukarany, lecz aby to ukaranie publicznie ogłoszonym
było; użalił się więc przed Radą stanu, a gdy mu
przedstawiono, że to ogłoszenie byłoby ubliżającym
dla niego samego, że i osobę swoją i wysoki swój
urząd naraził na napaść, obstawał przy swoim.
Wystawiano mu los biednego strażnika eks-wojsko-
wego, żołnierza zasłużonego, ojca licznej rodziny.
Żadną uwagą poruszyć się nie dał i odpowiedział:
„Siebie i rząd mój wtedybym skrzywdził, gdybym
zniósł i zamleczał obelgę mi wyrządzoną. Mówicie
mi o litości, tu litość byłaby występna. Ta to li-
tość u zwierzchników nie w miejscu używana, zara-
ża kraj złymi, niewiernymi i zuchwałymi urzędnika-
mi i w narodzie uwiecznia cztery najgłówniejsze
wady i nałogi polskiej natury: Burdactwo, zuchwa-
łość, pijaństwo i porywczosć do razów. Są prawa
na wstrzymanie i karanie podobnych występków,
stają się one niememi, kiedy zaniedbujemy ich po-
mocy. Pijaństwo tu i nieprzytomność umysłu, nie
mogą służyć za wymówkę, owszem powiększają winę
w urzędniku. Żyliśmy lat kilkanaście pod rządem
austriackim i pruskim i nie widzieliśmy podobnie
gorszącego wydarzenia, bo tam gdyby się trafił po-
dobny wypadek, winny oficyalista lub urzędnik
brząkałby kajdanami i błoto skrobałby po ulicach.
Dziś oficyaliści po rządach tych pozostali czy Niem-
cy czy Polacy, w ich szkole wychowani zawstydzają

ją naszych czysto polskich urzędników umiarkowaniem i regularnością. W służbie ciągle narzekania tylko, na pozostałych po rządzie narodowym słyszymy. Czyżaj to wina? o to pobleżania lub współnictwa zwierzchników“. Oddano więc strażnika pod sąd, odsądzony został od urzędu, za niezdatnego do służby publicznej uznany i więzienie dwumiesięczne odsiedzieć musiał. Gdy odbył naznaczoną karę, czolgał się po ulicach z żoną i z dziećmi, żebrząc umieszczenia, poradzono mu, aby się udał do Staszica, błagał przebaczenia i wstawienia się zanim. Gdy go Staszic u drzwi swoich ujrzał surowemi zgromił go wyrzutami, a potem rzekł: „Widzisz, postępowaniem twojem pozbawiłeś się chleba, żonę i dzieci doli pewnej. Jeżeli mi przyrzeczesz, że się poprawisz, że szczególniej nałogu pijaństwa wyrzeczysz się, wstawię się za tobą“. I przywoławszy go wyliczył mu kilkomiesięczną pensją dodając: „Gdybyś kiedy nie ze swojej winy popadł w nędzę i w nieszczęście, a ja dowiedziałem się, żeś na los swój nie zasłużył, udaj się do mnie, a ja cię nie opuszczę i wspomogę“. W takim sposobie mąż ten mściciel praw, mścił się za swoje osobiste krzywdy.

Wkrótce wydarzył się ze strony wyższego urzędnika inny wypadek. R... R., prefekt płocki, ten sam który próżnością, dumą i nadużyciem władzy, wsławił się na intendenturze wojskowej w Galicyi, osiadłego obywatela, że wezwany na dzień wyznaczony nie stawil się przed nim, kazał gwałtem wzięść z domu siłą zbrojną i podobną skrepowanego przed

siebie przyprowadzić. Gwałt ten pokrzywdzony obywatel zaskarżył do ministra spraw wewnętrznych, równie jak Rada departamentowa plocka, a gdy minister Łuszczewski łagodnego i słabego charakteru, chciał poprzestać na surowej naganie, wypadek ten wytoczył się przed Radę stanu, o oddanie pod sąd prefekta plockiego. R. znany był z swoich despotycznych rządów, z dumy, z próżności i nie był lubianym. Prócz ministra nie miał żadnego między radcami stanu obrońcy. Staszcie szczególnie z mocą i jędrnością o oddanie pod sąd nastawał, przypominawszy swój wypadek z strażnikiem. „Jak” rzekł „niżsi urzędnicy nie mają się dopuszczać zuchwałych nadużyć, kiedy w zwierzchnikach swoich takie wzory mają. Skaraliście drobnego przestępcę, pobłażaniem nie nasuwajcie myśli, że Rada stanu jest tą pajęczyną, w której mucha więźnie, a bąk ją przebija⁷”. R. jednomyślnie zawieszony w urzędzie i pod sąd oddany został, ale minister spraw wewnętrznych udał się z prośbami do króla, wystawił jego znakomite zdolności, gorliwość i zasługi, nakoniec zawiść przeciw niemu członków Rady stanu galicyjskich, iż król na naganie ograniczyć karę zalecił i przewinieniu pobłażył. Nie poprawił się R. ciągle jeden i za księstwa i za królestwa, dumny, nieposłuszny zwierzchnikom, dopiero dymisją przez dyrektora generalnego, administracyi krajowej zagrożony, do uległości ugiętym został.

W roku 1812, podczas wybuchłej wojny między Rosją, a całą połączoną pod chorągwiami Napoleona Europą, Staszcie dzielił radość z wszystkimi

i spodziewał się. Lecz skoro po konferencji poznańskiej między Napoleonem a Matusiewiczem, ujrzał sejm gromadzący się *moribus antiquis*, pod konfederacją generalną obydwóch narodów, gdy deputacya wysłana od tego sejmu do Napoleona z prośbą o ogłoszenie Królestwa Polskiego, stawiała się przed nim; gdy prośby przez samego ambasadora jego Pradta napisanej nie przyjął, lecz inną i w innych wyrazach pod swoim okiem wojewodzie Wybickiemu ułożyć kazał i na to dwuznacznie odpowiedział: „Zobaczę, zobaczę, gdyż mam wiele względów do pogodzenia”. Staszic o szczerości zamiarów Napoleona powątpiewać zaczął, a przynajmniej o zmianę ich posądzał. „Tu jest”, mówił między poufałymi, „jakieś kuglarstwo polityczne. Ambasador inaczej mówi i działa, cesarz inaczej. Czy po pierwszym starciu się z Rosyą, znowu się naszym kosztem pogodzić nie myśli, lub inne i olbrzymie przedsięwzięcie zamysły, czy się nie chce wraz z nią przedrzeć do Indii, aby tam ostatni cios zadać Anglii. Ta ciemna zasłona zamiarów cesarza niepokoi mnie”. Tak gdy się wszyscy spodziewali i radością unosili, przezorny ten umysł troskał się o losy Polski. Po wejściu Napoleona do Moskwy napisałem Odę na jej spalenie i czytałem ją na wydziałowym posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk. Staszic słuchał jej z uwagą. Zaczynała się od tych słów:

Gdzie jest ów potwór natury
Ten olbrzym, postrach narodów.

Po skończeniu sesyi Staszic wziął mnie na stronę i rzekł: „Zatrzymaj się z jej drukowaniem do

końca wojny, bo olbrzym jeszcze stoi i walczy⁷. Matusiewicz mi także tę samą uwagę zrobił, posłuchałem więc obydwóch rady. Po katastrofie nad Berezyną i cofaniu się rozbitków francuskich, rząd, konfederacya i szczątki wojska polskiego, wraz z Bigonem, ministrem francuskim, udali się do Krakowa. Wielu wprawdzie członków Rady stanu już wiadomych proklamacyi cesarza Aleksandra pozostało w Warszawie, lecz Staszcie wyjechał za rządem do Krakowa wraz z Marcinem Badenim i ze mną i przejazdem przez parę miesięcy gościł w Bejskach, w domu tegoż Badeniego. Miałem sposobność i w podróży i w Bejskach wybadać i poznać jego zdanie o nadzwyczajnych okolicznościach, których rozwiązanie było wątpliwem, bo Napoleon jeszcze oręż trzymał i nowe kohorty na plac boju powołał. Jakkolwiekby Staszcie takiego się rozwiązania jakie potem nastąpiło nie spodziewał, już powziął obawę aby Napoleon, okupując sobie dynastyą swoją Francją i pokój, Polski nie poświęcił. Na ten wypadek już do dawnego swego i zawsze niezmiennego systemu połączenia się z Rosyą, przechylać się zaczął, zwłaszcza, że cesarzowi Aleksandrowi jako monarche wspierającemu oświecenie nauki, zachowującemu narodowość podległym berłu jego ludom, a szczególnie wspianemu dla Polaków więcej ufał i pod berłem jego podobniejszym powszechny pokój i odechnienie po tylu okropnych klęskach ludzkości wróżył. Proklamacye też cesarza Aleksandra utwierdzały go w tem mniemaniu, a skoro dowiedział się o postępowaniu ludzkim i braterskiem wojsk rosyj-

skich w księstwie i o mianowaniu tymczasowego rządu w Warszawie, w którym pod prezydencją generała i senatora państwa rosyjskiego, Łanskoja, zasiadł w tym rządzie książę Adam Czartoryski, Wawrzecki, dawny narodu polskiego pód bitwie Maciejowickiej naczelnik, książę Ksawery Lubecki i Nowosilców, wówczas i przyjazny księciu Czartoryskiemu i najwierniejszy z wszystkich Rosyan, widokom cesarza Aleksandra i najprzychylniejszy interesom Polski, powrócił Staszic do Warszawy i zamknięty w swoim gabinecie oddał się naukowym pracom. Tym chwilom winniśmy jego nader ważne pismo o Równowadze Europy, w którym z zwykłą jędrnością stylu, okazując zawziętość czystego germanizmu, przeciw rodowi Słowian, nierozwagę na własne niebezpieczeństwo Francuzów, wytykając wady w polityce ludów łacińskich, równie jak w ich charakterze, czas, w którym pisze uważa za najwłaściwszy do zrzeszenia się w jedno ciało ludów słowiańskich, pod berłem rosyjskiego cesarza. Sądzi on, że natura w swoich odwiecznych działaniach prowadzi do tego. W tem zrzeszeniu ogląda zachowanie narodowości polskiej, jej obyczajów, religii i swobód. „To musi nastąpić” woła: „zginie kto się temu sprzeciwiać będzie”. Nakoniec po traktacie wiedeńskim wydał krótkie pismo *Ostatnie moje przestrogi dla Polski*, w którym, popierając swój wyżej wyrażony systemat, kończy je temi słowy: „Łączcie się z Rosyanami i oświecajcie się”. Tym duchem tchną jego wszystkie zagajenia, wszystkie jego przemowy do uczniów, w których cesarza Ale-

ksandra, wystawia im jako wzór monarchów i rodu polskiego dobroczyńcę. To samo przekonanie objawia się w jego przemówieniu się do cesarza gdy mu, jako prezes Towarzystwa przyjaciół nauk ofiarując roczniki Towarzystwa i swoje dzieło o Ziemiordztwie na publicznem posłuchaniu w roku 1816, przedstawiał członków tego Towarzystwa. Znajdowałem się wtedy w ich gronie i opisaniem tego posłuchania przerwę tę osnowę.

Po wspaniałym wjeździe cesarza Aleksandra do Warszawy, kiedy niewątpliwą zdawało się rzeczą, że nie kto inny po ogłoszeniu konstytucyi mianowany będzie namiestnikiem, tylko książę Adam Czartoryski, eiche szemrania i szeptania zaczęły się rozchodzić o generale Zajączku, który, zasiadając w komitecie wojskowym, do armii polskiej utworzenia wyznaczonym, umiał się W. księciu podobać, i uległością jego woli przychylności sobie zjednać. W tej chwili właśnie wypadło przedstawienie Towarzystwa przyjaciół nauk cesarzowi. Licznie zebrane grono pod przewodnictwem Staszica wprowadzone zostało do gabinetu tronowego, cesarz stał przy kominie, książę Adam Czartoryski obok niego. Książę przedstawił Staszica, który, w krótkich słowach przemówiwszy, ofiarował monarsze dzieło swoje o Ziemiordztwie. Wystąpił Linde, równie przedstawiony przez księcia i złożył w holdzie swój słownik. Cesarz łaskawie przyjął i położył na kominku. W krótkich w języku francuskim słowach zapewnił Towarzystwo o swojej przychylności i protekcji, potem obszedł łańcuch członków, a książę Adam każdego

imiennie przedstawiał, następnie wróciwszy do kolumna i wzięwszy dykeyonarz Lindego w rękę, zaczął rozmowę o dyalektach pobratymczych rosyjskiego i polskiego, nakoniec zapytał się, jaka jest etymologia nazwiska *Zajączek*. Gdy Linde wytłumaczył, cesarz powtórzywszy słowo *Zajączek*, pożegnał Towarzystwo. Ta okoliczność na pozór błaha, dała nam poznać, że owe głuche szemranie o Zajączku nie było bez zasady, jakoż się niebawem ziściło. Wybór zaś i nominacya generała Zajączka na namiestnika nastąpiły z następującej przyczyny.

Przyznać potrzeba, że ksiązę Adam Czartoryski, acz doskonale znany i ceniony w Polsce rosyjskiej przez wszystko, co swym wpływem dla niej wyjednał, oddalony przez lat kilkanaście od stolicy polskiej i dopiero przez konfederacyą jeneralną nieco poznany, nie wszystkich mieszkańców miał za sobą życzenia. Gorąco pragnęła go mieć na czele rządu oświeceniowa część ludności krajowej, szczególnie cała prawie arystokracja polska, posłowie sejmu konstytucyjnego, duchowni, biskupi i pierwszego znaczenia mężowie, wielu ze szlachty mającej jakiegokolwiek związku z Puławami, zgoda ci wszyscy, którzy sobie życzyli powrotu czystej narodowości polskiej, instytucyi, praw, do których nawykli i którym ciężały instytucye francuskie, nienarodowe i kosztowne. Przeciwnie, zaczawszy od stolicy, miasta departamentowe, powiatowe, obywatele wiejscy nie mogący się pozbyć niechęci do Rosyi, sędziowie, adwokaci liczni i już z bogaceni kosztownymi opłatami, prefekci, podprefekci, burmistrze, zgoda cała

czereda urzędnicza, popraska i pofrancuska, której o miejsca chodziło, nakoniec wszyscy demokraci francuscy, których nie mała była liczba, przeciwni byli księciu. Tych ostatnich naczelnie prowadził Węgrzecki, prezydent miasta Warszawy, człowiek prawy, poczciwy, oświecony, lecz główny nieprzyjaciel wszelkiej arystokracji i tak mową jak pismami poduszczał umysły, przerażał obawą zwrotu nieładu i feudalizmu polskiego. Zgola opinia o księciu Adamie i życzenia dla niego dzieliły się na dwa stronnictwa. Za nim było przeważne znaczeniem, patriotyzmem, oświeceniem przeciw niemu liczbą. Wielki książę Konstanty, nie lubiący księcia Adama, uważał to i cesarzowi bratu donosił, ten atoli dotąd miał się obojętnie; jednak ważąc opinią większości znalazł powody do namysłu. Książę Adam po traktacie wiedeńskim bawił przy cesarzu w Paryżu i tam garnął do nowego władcy rozpierzechnionych po upadku Napoleona Polaków. Już on przed wyjazdem na kongres wiedeński bawiąc kolejną to w Warszawie, to w Puławach, to usuwając się od natręctwa solicytantów do Zakrzówka, jako przezorny kochający swój kraj, pragnąc, aby się cesarz nie mylił w wyborze urzędników przy nowej organizacji królestwa, zbierał wiadomości o osobach, którychby do nowego porządku rzeczy użyć, którychby się pozbyć należało. Nie przestając na spisie i na biografjach osób przez przyjaciół Puław, sobie podawanych, szukał zdań u obojętnych i u bezstronnych, jednak względem niektórych uległ natchnieniom i wstawieniom się swojej rodziny, a szczególnie wpływowi

Linowskiego, który tenże siłą swego charakteru, patriotyzmem i znakomitemi zdolnościami wywierać umiał. Jemu więc najprzód zapewnił książe miejsce dyrektora poczty i policyi. Przeznaczenie zaś generała Krópińskiego, domowego przyjaciela Puław, na ministra wojny z krzywdą starszych i wysłużonych wodzów, nie przechylało na stronę księcia Adama przychylności W. księcia Konstantego, który nie cierpiał, aby mu się kto bądź do wojska mieszał, owszem dawne niechęci rozjątrzyło. Jeszcze z kongresu wiedeńskiego cesarz Aleksander przysłał zasady przyszłej konstytucyi. Książę Czartoryski, wróciwszy z Paryża do Warszawy, przedsięwziął zająć się organizacją kraju i nad nią pod tymczasowym rządem, wspólnie z dobranymi osobami pracować zaczął. W przeciągu czasu między przybyciem księcia Adama do Warszawy komitet wojskowy trudnił się organizacją armii pod najwyższą W. księcia Konstantego dyrekcją. Książę ten, samowładnie nim kierujący i nie znoszący żadnego woli swojej oporu, nie znalazł tylko w jenerale Zajączku i Wielohorskim posłuszne narzędzia. Jenerałowie Kniaziewicz, Woyczyński, Paszkowski, nie zadowoleni oddalili się z komitetu. Wojsko z powodu przemiany ubiorów szemrać zaczęło. Gniew na to W. księcia powiększał się i zaczęły się nadużycia samowolności, które zasmucały i trwożyły umysły mieszkańców. Węgrzecki prezydent miasta Warszawy za to, że śmiał przedstawić komitetowi, iż nie może zmuszać krawców, ażeby stawili się do szycia mundurów dla wojska, za narzucone sobie

bez dobrowolnej ugody wynagrodzenie, wzięty pod straż wojskową i osadzony w więzieniu. Henryk Łubiński za wizytę szpitalów znieważony słowy przez W. księcia w obec licznych współrodaków. Wilczek, odbierający sobie życie z rozpaczony wystrzałem pistoletowym, te i tego rodzaju wydarzenia obudzały powszechne narzekania. Zastał je książę Adam, a obłożony skargami od zasmuconych mieszkańców, aby cesarzowi przełożył nadużycia, w trudnem się znalazł między obydwoma braćmi położeniu. Linowski podał mu radę mniej zręczną. Jako dyrektor policyi, wygotował raport do rządu o duchu mieszkańców i o przyczynach przejścia tego ducha z najlepszych skłonności do ostygnięcia i namówił księcia, aby takowy raport, jako powiernik zamiarów cesarza, przesłał mu do Berlina, gdzie Aleksander podówczas bawił. Odebrawszy go cesarz wraz z listem księcia, dla sprawdzenia złego i zaradzenia mu, wysłał natychmiast adjutanta, swego generała Ożarowskiego, z listami do brata i wnosić można, że mu udzielił policyjnego raportu. W. książę na widok Ożarowskiego wpadł w gniew i niesłychane uniesienie, zląkał go publicznie i rozkazał natychmiast bez odpowiedzi wracać, a przypisując wszystko sprawie Czartoryskiego, sam natychmiast siadł do pojazdu i do Berlina dniem i nocą pośpieszył. Tam jaka nastąpiła między bracią rozmowa nie wiadomo. Mówiono że W. książę pozostaniu swemu w Polsce, tak koniecznemu dla cesarza Aleksandra z różnych politycznych przyczyn, położył warunek *sine qua non* oddalenie od rządu Czartoryskiego,

a mianowanie namiestnikiem generała Zajęczka. Jakkolwiek Czartoryski i W. ksiązę naprzeciw siebie stać żadnym sposobem nie mogli, jednak możeby był książe Adam osiągnął ten plac, jako mąż umiarkowany i zdolny do upiastowania między braćmi dobrej harmonii, lecz cesarz Aleksander wiedział, że prędzej rozumny Czartoryski przebaczy mu poświęcenie siebie jego spokojności, niż gwałtowny i nieuległy brat odmowę. Mianowanie też Zajęczka namiestnikiem nie było nieprzyjemne wojsku, będąc uczczeniem odniesionych ran. Było przytem rękojmią liberalizmu, a choć się nie podobało stronnictwu arystokratycznemu, a szczególnie Puławom, z zasług, z oglady, o oświecenia, z sławy w narodzie i za granicą nabytej, a nawet z poważnej sędziwością postaci, nietylko nie ubliżało godności tego miejsca, ale między Polakami było jednym z najprzychylniejszych, a dla polityki cesarza jednym z najtrafniejszych wyborów. Staszic, acz przychylny domowi Czartoryskich, był jednym z pierwszych, który się z tym wyborem pogodził. Namiestnik zaś, znając i oceniając światło, gorliwość i miłość dla kraju Staszica, uprzejmością swoją, pociągał do siebie, a świadomy pism jego, w których swe przekonanie objawił, znajdując je zgodnem, ze swoim, radą i czynnością jego podpierać się zamierzył. I to też nie mało wpłynęło na wzajemne związki, że w młodości swojej oba jednemu domowi winni byli swoje wykształcenie i wstęp na scenę świata. Staszic był nauczycielem Zamoyskich. Zajęczek był synem pułkownika, ich milicyi i kuchmistrzowi W. koronnemu

krewnemu Zamoyskich Wielohorskiemu, przez dom Zamoyskich dodany i polecony został, gdy ten od konfederacyi barskiej jako poseł do dworu francuskiego wyjeżdżał.

Staszic więc mianowany przez cesarza radcą stanu, dyrektorem jeneralnym przemysłu i kunsztów w komisyi spraw wewnętrznych, a w komisyi oświecenia członkiem, ze zwykłą sobie pracowitością zajął się oświeceniem, naukami, kopalniami żelaza, cynku, soli, fabrykami, drogami. Minister spraw wewnętrznych, Mostowski, minister oświecenia, Potocki, tym samym przejęci duchem wydobycia kraju z ubóstwa i stworzenia jego zamożności, namiestnik, pragnący wsławić rządy swoje pomyslnością mieszkańców i ozdobieniem ojczystej ziemi, znaleźli w nim gorliwego, czynnego i oświeconego pomocnika, doradcę i wyręczyciela. Wszyscy trzej mu ufali, podziwiali pracę, szacowali i poważali osobę, jakoż pod jego kierunkiem, nieugiętą i niezmordowaną gorliwością, zaczął kraj kwitnąć i wzmacniać się widocznie. Namiestnik tem szczerzej, tem stalej przywiązywał się do niego, że w jego pismach objawiony systemat połączenia Polaków z Rosyanami, jako jedyny środek zbawienia i zachowania tego, co nadspodziewanie przez wspaniałomyślnego monarchę narodowi udzielonem zostało, spotykał się i zgadzał z namiestnika mocnem przekonaniem. Razu jednego, jadąc wraz ze Staszicem w jednym pojeździe do Targomina na obiad do ministra Mostowskiego, dokądeśmy się co niedziela udawali, zapytałem go, dlaczego rząd takie miliony trwoni na

ozdobienie Warszawy, która w ubogim i małym kraju tak wyglądać będzie, jak głowa ufryzowana na łachmanami ukrytem ciele. Odpowiedział mi: „Nie zaniedbujemy i kraju. Lecz cóż to, nie zgadujesz jeszcze przeznaczenia Warszawy pod berłem rosyjskiem. To miasto przez swoje jeograficzne i polityczne położenie jest przeznaczone być trzecią, a może główną stolicą wielkiego w jedno ciało zrzeszonego pod jednym potężnym berłem słowiańskiego rodu. Tu się rozstrzygną losy Europy zachodniej. Pozwoliła na rozbiór Polski, musi służyć mocniejszemu, zaniedbała mieć z Polaków sprzymierzeńców, będzie miała ze wcielonych w Słowiańszczyznę panów. Kostka jest już rzucona. Spajajmy się z Rosją i oświecajmy, bierzmy od niej potęgę, ona niech bierze od nas oświecenie.” Staszie wpływu swego użył nietylko na dobro kraju, ale i swojej hrubieszowskiej osady. Zamyślając bowiem ludność jej uposażyć dziedzictwem gruntów, uswobodnić ją i w niej podać wzór, jakby życzył mieć cały kraj urządzony, wypracował ustawę dla tego Towarzystwa liberalną, ludzką, wspaniałą, w niej przezornym umysłem nakreślił urządzenia zabezpieczające jej zakwitnienie. Wyzuł się z całego swego bogatego majątku, a ludzkość zrobił jego dziedziczką i przez przychylnego sobie namiestnika, równie, jak przez Sobolewskiego ministra sekretarza stanu, wyjednał potwierdzenie jej przez cesarza. Niestety! o ile ta ustawa i ten czyn wspaniały dobroczyńcy znalazł uwielbienia u cnotliwych, oświeconych i ludzkich właścicieli po kraju, o tyle w okolicy Hrubie-

szowa, w niektórych ciemnych i zatwardziałych samolubcach spotykał uwłóczycieli, przeciwników i takich, co obmową i czynami za zawodne w swoich spodziewanych skutkach, święte i jedyne dzieło udawać, rozgłaszać i poniżyć w opinii ziomków przedsięwzięli. Staszcie gorszył się z tych niecnych zamachów. Lecz, poddawszy swoją Rzeczpospolitą pod opiekę rządu, a szczególnie komisji spraw wewnętrznych, w której zasiadał i w której był pewnym jednego z sobą zdania dyrektora administracji, do którego wydziału szczególnie ta opieka należała, wspólnie z nim czynnie i gorliwie czuwał, aby bądź ze strony sąsiadów Towarzystwa hrubieszowskiego, bądź ze strony urzędników wojewódzkich, ustawa jego najmniejszego nie poniosła uszczerbku, owszem, za życia jego i pod jego okiem coraz pomyślniej się rozwijała w skutkach swoich i w celach prawodawcy.

Przecież ten mędrzec, ten filozof, filantrop, ten Polak, ten obywatel najgorliwszy, najodważniejszy w mówieniu prawdy i w czynieniu dobrze, ten urzędnik najpracowitszy, który przez miłość polskiego rodu wyrzekł się samego siebie, zabijał się trudami dla uszczęśliwienia współziomków i ludzkości, któremu ziemia polska tyle winna pomyślności, ozdoby i dostatków, który jej kopalnie odkrył, urządził, sól przysposobił, fabryki mnożył, do usłania dróg znacznie się przyłożył, któremu młodź polska winna wielką część oświecenia swego przez uratowanie funduszów, który ojców jej, jak natchniony prorok o błędach przestrzegał, który niecnym gromił, cno-

tliwych zachęcał i wspierał, który w literaturze krajowej, jak mówca i pisarz na znakomite zasłużył miejsce, mąż jedyny między współczesnymi sobie, który u obcych miałby pomniki, u swoich za życia jeszcze doznał od jednych szyderstwa niewdzięczności, od drugich, a nawet, o wieczna hańbo! od młodzieży stołecznej prześladowania. Zniósł on to wszystko ze stałością duszy stoika, nie zraził się, bo znał historię świata i historię polskiego narodu. Nie dla wdzięczności pracował, wdzięczności się też nie spodziewał, uśmiechał się na złość ludzką, którą ciąglem poświęceniem zawstydział. Opiszę pokrótce te pierwsze przeciw niemu niewdzięczności i niedoleżnej zemsty, groty i opowiem do niej blądhe powody.

Konstytucya Królestwa Polskiego zarządziła narodowi polskiemu wolność druku, zostawując prawu, którego stanowienie sejmowi oddała, przepisanie środków ukrócających jej nadużycia. Młodzież ze szkół wychodząca, niebaczna, nie zgłębiająca naszego położenia, zupełnie odmiennego od krajów niepodległych, z niepohamowaną żądzą słynności za wzorem pismaków francuskich, a ze zwykłą sobie do małpowania skłonnością, rzuciła się w zawód dziennikarski. Pierwszy, młody pisarz i literat znany pochlebnie z tłumaczeń łacińskich klasyków i małych literackich utworów, Brunon Kiciński, zaczął wydawać rodzaj pisma peryodycznego pod tym tytułem *Orzeł Biały*, i przybrał sobie za pomocnika niejakiego Skomorowskiego, ucznia gimnazjum Krzemienieckiego, ze swoich mniej oględnych wyobra-

zeń znanego; już bacznie wielkiego księcia i jego policji okiem śledzonego. W tem więc piśmie zaczęły się zjawiać artykuły polityczne rozmaitego a przeciwnego rządowi ducha, rozbiór czynności rządowych, często z krytyką, a nawet z szyderstwem osób do rządu należących. Wychodziły na jaw dyskusye Rady stanu, które młodzi wice-referendarze przytomni posiedzeniom, a nie umiejący sekretu dochować po domach wyjawiali, aby sobie ważności dodać. Temi plotkami rządowemi najwięcej odznaczył się, szczególnie między kobietami je roznosząc, książę Antoni Jabłonowski, syn księcia wojewody Stanisława, któremu nie brakowało dowcipu i który salonową wziętość posiadał. Ten to był książę Jabłonowski, który się potem dał wciągnąć do spisku Ryljewa, Bestużewa i Pestla przeciw Aleksandrowi. Redaktorowie *Orła*, podsłuchując tych zwierzań się, używali ich na wątek do swoich opozycyjnych artykułów. Gdy więc w *Orle Białym* zaczęły się mnożyć takowe drażliwe i uwłaczające artykuły, minister spraw wewnętrznych, spostrzegłszy wielkiego księcia i namiestnika nieukontentowanie, pragnął w formach konstytucyjnych zaradzić złym skutkom i dla kraju i dla dziennika wyniknąć mogących, i zamierzył założyć pismo polityczne w komisji spraw wewnętrznych, wzywając do redakcyi jego najznakomitsze w Warszawie pióra. Dyrekcyę tego dziennika zamierzył powierzyć dyrektorowi jeneralnemu w komisji spraw wewnętrznych, a na redaktora głównego wezwać Ludwika Osńskiego. On sam, Stanisław Potocki minister

oświecenia, Staszic, Plater, Lipiński, nawet Niemcewicz, mieli dostarczać artykułów, prostujących fałszywą polityczną opinię, skłaniających do umiarkowanego używania swobód konstytucyjnych i okazujących, że w położeniu Polski tak i tyle obdarzonej od cesarza Aleksandra, prawdziwą miłością ojczyzny i patriotyzmem, jest szanować obecne dobro i oglądać się na ziszczenie obietnic cesarza. Lecz gdy wielkiemu księciu Konstantemu, uzalającemu się na swawolę dziennikarzy, powierzył myśl swoją, ten odrzucił radę Mostowskiego, oświadczając, że nie chce piśmiennej polemiki z młodzieżą, bo takowa raczejby rozdmuchała zło, któremu zaradzić należy przez skarcenie lub zakaz pism nieuważnych i szkodliwych.

Do chęci, obudzonej w naczelnie rządzących ograniczenia wolności pisania, przybył nowy powód z pism samego Niemcewicza. W tym właśnie czasie zaczęło wychodzić dzieło jego: *Dzieje panowania Zygmunta III*, a więc epoki historycznej największych między Moskwą i Polską wojen, zatararów, krzywd wzajemnych i nienawiści. Niemcewicz, jak w sejmie konstytucyjnym, tak tembardziej skutku następnych wydarzeń, żywił w sercu niepomowaną nienawiść do Rosyi. Znajome są pisma jego tym duchem teńące, jako to: *Ekloga Kiryły*, *Listy litewskie* i t. d. W tym czasie zajmował on tylko miejsce sekretarza senatu, a choć doznawał wszelkiego poszanowania, jako cnotliwy Polak, oświecony i utalentowany mąż i przyjaciel księcia Adama, nie odmienił się w dawnych nawykniach, które się

pod piórem jego wyraźnie objawiały. Mniej więc potrzebnie do rzeczy poumieszczał dotkliwie przeciw narodowi rosyjskiemu z owego czasu paszkwile, malujące w ubliżających kolorach i wyrazach postawę, obyczaje i stan oświaty jego. W swoich własnych opowiadaniach nie oznaczał mieszkańców Rosyi nazwiskiem Rosyan, lecz często używał pogardliwego nazwania, jak to nienawistni im przodkowie nasi czynili, mieniając ich Moskvicinami. Nie uszło to bystrej i podejrzliwej uwagi senatora Nowosilcowa, obraziło go to naumyślne i niepolityczne ubliżanie i użalił się przed namiesntikiem, prosząc, aby temu zaradził wpływem swoim na Niemcewicu. „Po co—mówił on—w terażniejszym położeniu dwóch narodów to drażnienie tem szkodliwsze, że pochodzi od osoby tak wielkiej wziętości i poszanowania, a przeto tak przeważny wpływ wywierającej na opinię publiczną. Rosyanie złożyli nienawiść do Polaków, chociaż zwycięzcy nie obrażają w niczem miłości własnej narodowej, nie nazywają ich Lachami, jakto ich dawniej mianowano w Rosyi, owszem oddają sprawiedliwość wyższości ich cywilizacyi i Karamzin w swej historii jej nie zaprzeczył. Rosyanie weszli w widoki swego cesarza, pojednania i połączenia pod jedno berło tych dwóch ludów, oświeceńsza część w narodzie dopomaga mu w tem dziele, lecz ma jeszcze monarcha do zwalczania nie małą liczbę i w wojsku, i w ludzie, i między możnymi, patrzącymi z zazdrością na te dobrodziejstwa, wylane na kraj kosztem krwi Rosyan podbity. Taka niebaczość ze strony Polaków,

utrudniając położenie cesarza i polityczne i wewnętrzne, może go zatrzymać, może spóźnić lub odmienić jego dalsze dla Polski widoki. Wtenczas sami Polacy będą ęsobie winni, jeżeli się pozbawią obszerniejszego istnienia, a może i tych swobód, któremi ich wspaniałość cesarza uposażyła!⁷ Te uwagi komisarza cesarskiego trafiły do przekonania namiestnika, który zaprosił do siebie Niemcewicza. Dotąd żyli obaj z sobą w ścisłej przyjaźni, związanej tak w sejmie konstytucyjnym, jak w rewolucyi Kościuszki. Dzielili oni jedne wyobrażenia i jedną postępowali drogą. Po uwolnieniu Zajączka z więzienia Ołomunieckiego, przestawali ze sobą i nad ratowaniem Polski wspólnie się naradzali. Podczas wojny francuskiej w Księstwie Warszawskim, po powrocie Niemcewicza z Ameryki, ta przyjaźń mocniej się jeszcze zacisnęła. Mogli więc z sobą nawzajem, acz różni obecnem położeniem, z zupełną otwartością i poufałością rozmówić się, lecz obaj żywi z natury, a przy swoim systemacie uporni, zawiedli się na sobie. Namiestnik powierzył Niemcewiczowi uzalenie Nowosilcowa i znajdował je słusznemi, bo był głęboko przekonany, iż nie zostaje Polakom, jak trzymać się otwarcie i szczerze Rosyi, i starał się skłonić Niemcewicza do umiarkowania. Niemcewicz, zawsze marzący inną przyszłość dla Polski, lękający się skażenia charakteru narodowego i wystąpienia z drogi cywilizacyi, mniemał, iż nie należało bezwarunkowo przywiązywać się do dobrodziejstw cesarza Aleksandra, którego wspaniałym chęciom wierzył, lecz trwałości jego dzieła nie

ułał, następców i naród jego podzierał i po wczesnej wydarzyć się mogącej śmierci jego, podobnych losów dla swego kraju, jakie go po upadku Napoleona za to, że je z przeznaczeniem jednego człowieka połączył, obawiał się. Ztąd żywa między nimi rozprawa, ztąd wzajemne wyrzuty, przymówki, obraza i uraza. Namiestnik wyrzucał Niemcewiczowi nieumiarkowanie w słowach i pismach, Niemcewicz zbytnie oszczędzanie i miłość obecnego położenia, aż do krzywdzącej go uległości i czołgania.

Dotknięty namiestnik zerwał związki przyjaźni z Niemcewiczem i dom mu swój wypowiedział. Nie przebaczył mu tego mściwy, jak go zwano, Julian, i pierwszej sposobności zemsty nie opuścił. W tym właśnie czasie na teatrze francuskim, protegowanym przez wielkiego księcia, występowała młoda i przystojna aktorka Philis, którą szczególniejszą część rosyjska publiczności upodobała sobie. Ufna ona w jej łasce zaniedbywała się w niejednej roli, a pewnego razu lekceważenie publiczności posunęła do tego stopnia, iż z karmelkiem w ustach wyszła na scenę. Widzowie polscy, wzięwszy to jej zapomnienie za ubliżenie sobie, gwizdać zaczęli. Ztąd hałas i wrzawa, aktorka, obrażona, spłakała się i znalazła opiekunów i obrońców, którzy jej zażalenie do wielkiego księcia zanieśli. Ten nakazał policji wydać rozporządzenie, zabraniające świstania i hałasów na teatrze. Ztąd w publiczności i po dziennikach, jak w *Orle Białym* i w *Kronice*, okrzyki, jakby przeciw zgwałceniu konstytucji i odjęciu swobód nią zaręczonych, ztąd paszkwile na władzę policyjną. Sko-

morowski umieszczał po gazetach artykuły rozdrażniające, a wskutku ich wielki książę pilnie namiestnika nalegał o wydanie postanowienia ukracającego tę, jak ją nazywał, umysłową swawolę.

Namiestnik przynaglił komisję oświecenia do wniesienia projektu cenzury, którą swoją namiestniczą władzą wprowadzić zamierzył. Zawiadomiony o tem Niemcewicz napisał do *Kroniki* artykuł pod tytułem *Sen Plutarcha*, w którym złośliwie piórem w żółci umaczanem, wytknął nadużycia władzy, skutki ich, a to w sposobie, że każdy mógł poznać i osobę namiestnika i zamiar autora. Jeneral Kossecki odpisał na tę diatribę z umiarkowaniem i przyzwyczajoną, lecz nikogo nie przekonał, ściągnął na siebie nieprzebraganą nienawiść autora *Snu Plutarcha*. Wtenczas i W. książę i Nowosilców i namiestnik, zgodzili się na potrzebę położenia hamulec coraz więcej ośmielającej się wolności druku. Gdy droga sejmowa jeszcze była daleka namiestnik przynaglił ministra oświecenia do wygotowania projektu zawieszenia wolności druku do sejmu, lub ustanowienia cenzury. Wniósł więc minister oświecenia projekt i ten przez radę administracyjną przyjęty został; lecz gdy przyszło do jego kontrasygnowania pan Stanisław Potocki bądź, że prawdziwie zasłabł, bądź że zmyślił chorobę, nie przybył z Wilanowa na sessyą. Wtenczas Staszic na posiedzeniu Rady w zastępstwie ministra uchwalone postanowienie podpisał. Orzeł biały nie chciał się poddać cenzurze i wychodzić przestał; lecz jeżeli nie w publicznych pismach, to pokątnie zaczęły się odzywać

głosy potępiające i szkalujące Staszica. Nie dość na tem, gdy sejm nadszedł, wielka część posłów, a szczególnie burzliwe województwo kaliskie głośne wniosło szemranie o obrazę konstytucyi jakby przez ministra oświecenia i Staszica wyrządzoną i obydwóch do oddania pod sąd cesarzowi przedstawić zamierzyło. Przy końcu sejmu, gdy nadszedł dzień na podawanie petycyi do króla przeznaczony, posłowie kaliscy, ci trybuni polscy, a raczej naśladowcy opozycyi francuzkiej: Niemojewscy, Biernacki, Morawski wnieśli oskarżenie i prośbę do monarchy o oddanie pod sąd Stanisława Potockiego i Stanisława Staszica. Uprzedzony o tem Staszic wybierał się na posiedzenie w celu tłumaczenia się. Ale znając jego charakter, nieugiętość i oburzenie, wiedziano, że to tłumaczenie będzie raczej nauką, wyrzutem, zgromieniem sejmu, niż usprawiedliwieniem. Staszic bowiem nie umiał dać miary wysłowieniu, nawykły do tonu pedagogicznego byłby niemylnie wywołał burzę, podobną do tej, jaką niegdyś Linowski ściągnął na siebie, lecz szkodliwszą dla narodu pod berłem cesarza Aleksandra, od tej, którą król saski zniósł, ulagodził i przebaczył. Namiestnik więc uwiadomiony i przerażony wezwał do siebie Staszica, zatrzymał i do pogardzenia zarzutami i skargami skłonił. Wzniósł się nad nie Staszic, głęboko jednak uczuł urazę, a po skończonym sejmie nie raz do przyjaciół mawiał: „Jak to, p. Stanisława Potockiego i mnie pod sąd? Toż nasze zasługi, nasze poświęcenie są za nic u nich! toż nas pod sąd oddają, co się dla kraju, dla ich synów po-

święcamy, toż nas zrozumieć nie chcą, żeśmy widzieli konieczność położenia tamy rozpasanym piórom i językom, aby krajowi oszczędzić nieszczęść, któreby niebaczość i głupota sprowadziły. Nie, naród, który tak z doświadczenia korzysta, który nie rozumie co jest wolność a co swawola, i że w pewnych okolicznościach i położeniach to jest swawolą, coby w innym czasie było tylko wolnością, naród, który tak ceni zasługi i zasłużonych prześladuje; i losy swoje, konstytucyą i dolę potomków na szwank wystawia, nie daje rękami poprawy i zdolności utrzymania swego bytu⁷. Nie ostygł atoli w gorliwości czynienia dobrze temu narodowi, utrudzał się, pracował, i szczególnie zwrócił swoje usiłowanie ku wydobyciu soli w Ciechocinku i Suchedniowie. Oprócz tego górników i znawców z zagranicy sprowadził, kopalnie rozszerzał, fabryki zakładał i wspierał. Jeżeli go zasmucały drobne wypadki odkrywanych między młodzieżą zmów i stowarzyszeń, mniemał, że przezorne oko W. księcia i czynność policyi krajowej nie dozwoli im stać się niebezpiecznymi. W przemówieniach swoich na egzaminach uczniów wymownymi naukami i przestrogammi zachęcał do szanowania obecnej pomyślności kraju, i do zachowania wdzięczności dla dobroczyńcy jego, cesarza Aleksandra. Zawsze jeden, zawsze ten sam, wierny powziętemu systematowi i nieugięty w przekonaniu, niedbały na szemrania fałszywego lub mniej bacznego patryotyzmu. Dziwić się potrzeba jak jego siły fizyczne, jak umysłowe zdolności podolać mogły tylu różnorodnym przedmiotom

i zatrudnieniom. Nauki, oświecenie, szkoły, administracya, drogi, fabryki, kopalnie, budowle, Towarzystwo przyjaciół nauk, szkoły rzemieślnicze, teatr narodowy, literatura, pomnik wzniesiony sławnemu ziomkowi, tyle dzieł jago ręką skreślonych długo zaświadczać będą jego niezmordowaną gorliwość i czynność.

Podczas wyż wspomnianego sejmu bolesną także odniósł poprzednio ranę. W czasie dyskusyi projektów między radą stanu a komisjami sejmowymi z izby poselskiej i senatu wyznaczonemi, gdy się żywy wszczął spór o jeden ze zbawiennych projektów, i przeciw rządowi członkowie komisyi w ostrych powstali wyrazach, a szczególniej przewodnik ich kasztelan Wincenty Grzymała. Staszic, obecny na tem posiedzeniu, chcąc poprzeć już zmordowanych kolegów głos zabrakł prawie w tych słowach: „Przebóg panowie! spostrzeżcie się, że wznawiacie kłótnie i spory z tronem owych dawnych sejmów polskich, które Polskę zgubiły. Przebóg! wspomnijcie czeni nie dawno byliście. Oto zawojowano nas i nie istnieliśmy; wspaniały cesarz dźwignął nas, obdarzył swobodami jakich tylko życzyć sobie mogliśmy. Zaledwie wróceni do życia zamiast okazania wdzięczności, i wymiarkowanej uległości, targamy się, burzymy, przeciw komu? przeciw potędze, która jak nas utworzyła, tak może nas jednym tchem zdmuchnąć.” Chciał dalej mówić, ale nagły okrzyk członków sejmowych i wrzask Grzymały przerwał mu mowę w słowach: „Pod sąd, pod sąd zasługuje taki członek rządu, który do rozpraw

i sporu z ministrami i z rządem mięsza niekonstytucyjnie imie panującego, i zastraszyć nas pragnie". I zerwawszy się z miejsc wyjść chcieli, zaledwie prezydujący i referent, którym byłem, łagodnem tłumaczeniem chęci Staszica i jego patryotycznej gorliwości, uspokoiłiśmy umysły i do dalszego rozbioru rzeczy skłonili. Zamilkł zasmucony Staszic i ze zmarszczonem czołem siedział jak niemy. Po ukończeniu posiedzenia rzekł do mnie: „Widziałeś jak powstali na mnie, nie chcą słuchać prawdy, jeszcze duch anarchiczny ojców przebija się; zobaczysz jeszcze oni raz zgubią Polskę”. Mimo wieku i sił starganych nie ostygł w właściwej sobie gorliwości aż do objęcia ministryum skarbu przez księcia Ksawerego Lubeckiego, na którym się Staszic z pierwszych jego fiskalnych urzędzeń zaraz poznał, lecz Lubecki nie poznał się na Staszicu i nie ocenił go według jego wartości. Staszic mawiał o Lubeckim: „Ten człowiek nie ma żadnego wyobrażenia o ekonomii politycznej, o finansach, o rządzie konstytucyjnym, ma bystrość pojęcia, nie ma nauki, mało czytał, a zarozumiały i uparty, ślepe naśladowanie urzędzeń rosyjskich mniema być najwłaściwszą sztuką rządzenia. On tak zawikła nasza interesa, że równie Rosyanie jak Polacy z odmętu tego się nie wydobędą”. Czyli Staszic miał słuszne powody osądzić tak Lubeckiego nie chcę rozstrzygać, lecz jeżeli Bóg dorzuci jeszcze jaki rok do mego życia, dam wierny obraz tego ministra, tu tylko wyrażę, że Staszic równie o wprowadzone monopola jak też o ciągły gwałt zadawany prywatnej własności

i najświętszym nadaniom, równie jak o zagarnienie do skarbu wszelkich depozytów sądowych, sierocych i t. d. o nieuszanowanie konstytucyi stałe stawał mu w Radzie stanu na przeszkodzie, ztąd spory, ze sporów urazy, z uraz zemsta tego księcia, który śmiały ufnością panującego, stawszy się istotnie nietylko namiestnikiem, lecz samowładnym rządca, rad był się pozbyć każdego urzędnika niepodległego, a tem więcej przeciwnego jego zamiarom. Zaczął więc od krytyki wydziału Staszica, szczególnie górnictwa, a pod pozorem, że komisya skarbu pożyteczniejszej i na większą skalę jest zdolniejszą zarządzać kopalniami, postarał się o dekret cesarski, przenoszący górnictwo wraz z funduszami z komisyi spraw wewnętrznych do komisyi skarbu. Staszic więc pozbawiony swego ulubionego przedmiotu w chwili, w której już kraj znakomite z jego pracy zbierał korzyści, a widząc wydział swój ograniczony jedynie przemysłem i kunsztami, ogołocony z funduszów, o które w nowe z ministrem skarbu trzeba było wchodzić zatargi, zażądał od namiestnika uwolnienia od swego dyrektorstwa, i z komisyi spraw wewnętrznych, z głęboką raną serca, a z żalem ministra Mostkowskiego i całej komisyi oddalił się. Książę namiestnik atoli szanujący i osobę i prace Staszica, nie zniósł tego, aby tak pożyteczny i gorliwy urzędnik wyszedł ze służby bez oznaki zadowolonia ze strony monarchy i wyjednał dla niego stopień ministra stanu z prawem zasiadania w radzie administracyjnej i ozdobę orderu orła białego. Przyjął te nagrody Staszic z wdzięcznością i z chlu-

bą i odtąd oddał się cały komisyi oświecenia, Towarzystwu Przyjaciół Nauk, radzie stanu, na którą uczęszczał, Towarzystwu hrubieszowskiemu, które odwiedzał, czuwając nad wypełnieniem, ustawy. Zajął się także drukowaniem dzieł swoich, do których ryciny z Paryża ze znacznym kosztem sprowadził, kazawszy je wykonać podług swoich nie zawsze zrozumiałych i mogących być pojętami rysunków, gdy nagle i niespodzianie tknięty apopleksyą nerwową, mimo gorliwych starań najbieglejszych lekarzy, po kilkodniowej słabości w domu, w którym mieszkał, to jest w pałacu księżny Aleksandrowej Sapieżyny, a teraz hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, cnotliwe życie zakończył. Odwiedziłem go na dzień przed jego śmiercią, zastałem go obstawionego na skroniach pijawkami, na pół ubranego, leżącego na kanapie, zupełnie przytomnego sobie. Powziąłem więc nadzieję jego wyzdrowienia. Podniósł się on do mnie, uściśnieniem ręki przywitał, opowiedział słabość i rzekł: „Może się jeszcze z tej choroby wydźwignę, lecz jeżelibym umarł, wszystko zostawię w porządku. Jesteś dyrektorem administracyi, nie porzucaj urzędu, pamiętaj strzedz i opiekować się mojem Towarzystwem hrubieszowskiem. Znam twój sposób myślenia i prawość, pisałeś za włościanami, broń i zasłaniaj tę instytucyę równie od zbytecznego mieszania się rządu, jak nadużyć tych, których nad nią przelożyłem, a szczególnie nie dozwól jej szkalować obmowami i plotkami egoistów twardych i nieludzkich, i niechęcią niektórych sąsiadów. Niech się rozwinie, skutki jej będą znakomite i pożytecz-

ne dla kraju, zaklinam cię o to na miłość ojczyzny. Odwiedz mnie jeszcze⁷. Przynależem, lecz kiedy powtórzyć nazajutrz chciałem odwiedziny, nowy napad apopleksyi wydarł go na zawsze krajowi, ludzkości i wszystkim prawym ludziom. Ledwie się rozeszła wieść o jego śmierci, nietylko przyjaciele, ale szczególnie cała młodzież z uniwersytetu i z liceum zbiegła się i obległa progi jego z żalem i z wyrzekaniem, i przygotowała się do tego pogrzebu, podczas którego koleją zmieniając się niosła na barkach swoich zwłoki jego na Bielany, gdzie się pochować polecił, jako w miejscu ulubionem dla swoich rozmyślań. Świadek rozjątrzenia, szemrań, paszkwilów tej samej młodzieży nie dawno przeciw Staszicowi podbudzonej gdy cenzurę podpisał i znowu przy pogrzebie jego przytomny tej czci, tego zapału, i uwielbienia, przypomniałem sobie ów wiersz Naruszewicza:

Wasz to zwykły obyczaj, cierń w życia przeciągu,
A potem martwe wieńczyć zwłoki na posagu.

Ale niestety! ten, co wyręczając naród, sam własnym kosztem wznosił spiżowy posąg Kopernikowi, dotąd nawet grobowego nie pozyskał pomnika. Któryż go z znakomitych ludzi i bohaterów w Polsce z rąk narodu otrzymał? Marnotrawimy pieniądze na zbytki, na włóczęgę po obcych krajach, widzimy jak inne narody sławą wielkich ludzi sławę swoją uwieczniają, a my ich nie naśladowemy w szlachetnych czynach, lecz za to rozpustę izgubne wyobrażenia od nich przejmujemy. Pra-

gnęlibyśmy mieć wielkich i znakomitych ludzi, a jakże ich do poświęcenia się zachęcamy. Żaden, po wtwarzam z naszych bohaterów lub zasłużonych mężów nie ma od narodu posągu ani pomnika. Tarnowskiemu zięć wystawił wspaniały w Tarnowie nagrobek, Zamoyski skromny napis na blasze pozyskał, który sam sobie wyryć kazał *Hic situs est Joannes Zamoyski*. Na nagrobku Żółkiewskiego w Żółkwi prawnuk jego Sobieski położył napis *Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor*. Czarnieckiemu wystawił posąg w Tykocinie wnuk jego Klemens Branicki. Kopernika Staszic posągiem uczcił. Kiedy w pismach Staszica o życiu Jana i Jędrzeja Zamoyskich czytam wyrzekania na tę nieczułość, niedbałość, a razem wyrzuty narodowi za występki przeciw sławie jego i za dowód niewdzięczności przychodzi mi na myśl uwaga, że Staszic, jakimś tajemnem przecuciem wiedziony, swój przyszły los kreślił.

Zdaje mi się, iż Staszic wyznaczył sobie w testamencie miejsce wiecznego spoczynku na Bielanach, z niejakiego powodu obawy, aby duchowieństwo jako renegatowi kapłaństwa nie odmówiło powązkowskiego cmentarza. Lecz duchowieństwo, widząc opinią powszechną cześć dla niego, nie tylko nie śmiało mu przeczyć pogrzebu, lecz do jego świętości gorliwie się przyczyniło. Skarszewski arcybiskup upomniął się tylko u zatrudniających się pogrzebem, aby jako kapłan z charakteru, którego z siebie zatrzeć nie mógł, ubrany był po śmierci w kapłańskie urzędowe szaty. I tak się też stało.

Mąż więc nieporównanej miłości ku ludzkości, dobroczyńca sierot, ubogich i szpitalów, jak zaszczycał sobą społeczność, tak duchowieństwo przyznając się do niego, zaszczytu nabyło. Ale młodzież szkolna prawie go obnażyła z tych szat świętych, obrywając je na pamiątkę swojej czci i wdzięczności. Pogrzeb więc stał się świetnym licznym tłumem, wszystkie zakony, Pijary prowadzili zwłoki niesione na barkach młodzieży szkolnej, która tego trudu podzielić ubiegającym się urzędnikom nie dozwoliła. Jedno tylko zgromadzenie księży misjonarzy przytomne nie było i mało kto z wyższego duchowieństwa. Nabożeństwo żałobne odbyło się w kościele ks. Kamedułów bielańskich, skromne co do wystawy, świetne co do natłoku ludu i pierwszych w kraju osób. Kazanie powiedział ks. Szwejkowski, rektor akademii warszawskiej, wymownie, godnie i jak przyjaciel zmarłego tklawie wywiązał się z przyjaźni i prawdzie, stosownie do okoliczności i czasów. Nie mógł wszystkiego powiedzieć, coby był chciał, powiedział atoli wszystko, co tylko powiedzieć można było, dobrze ocenił zmarłego zasługi, i rzetelnie odmalował jego życie. Przy spuszczeniu zwłok do dołu wystąpił młody referendarz Albert Grzymała z mową, którą młodzież z uniesieniem przyjęła, której my starsi w zupełności zrozumieć nie potrafili. Nie spodziewał się Staszcie, aby syn jego przeciwnika zapragnął chluby sławienia go, o którą każdy z najdosłojniejszych mężów chętnieby się był współubiegał. W istocie należało się któremu ze znakomych członków, bądź Towa-

rzystwa Przyjaciół Nauk, bądź rady stanu przyjąć tę posługę i nie jeden z nich życzył sobie tego zaszczytu, gdy młodszy od nich wszystkich wiekiem i nie dawny w radzie stanu współtowarzysz zmarłego ubiegł wszystkich zyskanem u namiestnika zezwoleniem. Wybór ten zadziwił. Troskliwy o godne uczczenie pamięci Staszica, zapytałem sławnego wydawcę Astrei Franciszka Grzymałę imiennika Alberta, czyli czytał przygotowaną mowę i czy ona zaspokoi oczekiwanie powszechne. „Czytałem ją” odpowiedział „będzie z niej publiczność kontenta, jest godna i śmiała”. Z natężoną więc ciekawością słuchałem jej przy grobie Staszica, a gdy jej wszystkich wyrażen i myśli zrozumieć nie mogłem, słysząc pochwały w kolo mnie rozlegające się, nie pomalu się zdziwiłem. Zabierając się do powrotu z tego obrzędu spotkałem mówcę, który mnie zapytał, czy mam mój pojazd, gdy rzekłem, że mam dorózkę, zaprosił mnie do swojej karety, dodawszy: „Lubo ztąd prosto jadę do namiestnika: odwiozę pana do jego domu” (Grzymała mieszkał na dole w domu Fraenkla, gdzie i ja miałem moje mieszkanie). W pojeździe rzekł do mnie: „Zaraz wiozę mowę moją do namiestnika, czy myślisz pan, że nie będzie nic jej miał do zarzucenia, jak ją pan znajdujesz?” „Przyznam ci się” odpowiedziałem, „że nie dosłyszałem wszystkiego i nie wszystko pojąłem, lecz, uważając że publiczność z ciekawością słuchała i unosiła się, nie mogę wątpić, że musi być godna twego talentu”. Wysadziwszy mnie przed mym domem pospieszył do namiestnika. W kilka godzin przyszedł dod

mnie Ludwik Osiński i zapytał czy w całości zrozumiałem mowę Grzymały, a gdy i ja mu podobne pytanie zrobiłem, rzekł: „Znając Grzymałę, wiedząc że nie brakuje mu ani zdolności ani dowcipu, słysząc te ciemne i enigmatyczne wysłowienia, a razem widząc uniesienia młodzieży wpadam na domysł, że jak uwielbienie jej dla dzisiejszych poezyi, tak i dla tej mowy pochodzi ze znaczenia tajemniczego, które dla nas jest nie zrozumiałem, a do którego klucz mają niektóre w porozumieniu z sobą będące umysły”. Kto wie czy domysł Osińskiego nie był trafny i czy go następne wypadki nie usprawiedliwiły, to jest spisek Jabłonowskiego, do którego i Grzymała należał, mnóstwo młodych ludzi zawikłanych w nim, ztąd komisya śledcza, sąd sejmowy, wyrok niezadowolniający cesarza, gniew, obrazy, urazy i ostatni rewolucyjny wybuch. Szczęśliwy Staszic, że śmiercią uniknął tych nieszczęśliwych wypadków. Widząc zniweczone wszystkie swoje trudy, systemata, nadzieje, pomysły, byłby albo się wygnał z kraju, albo sędziwą głowę wśród głębokiej boleści złożył na grobie ojczyzny.

Jakkolwiek Staszic był jednym z najznakomitszych, a nawet rzadkich mężów polskich i do rzędu jej mędrców należał, chociaż go okrywała sędziwość, powaga i surowość obyczajów, malująca się na jego twarzy i w całym układzie, nie uniknął posądzenia i obmowy, do której wrodzoną słabością naturze ludzkiej dał niejaki powód, narażając częstokroć bądź przez zbytnie zmordowanie pracą, bądź przez roztargnienie umysłowe, bądź przez upór

w swoich ulubionych systematach i teoryach, poważną swoją osobę na śmieszność.

Pomijam tych, którzy zarzucili mu liberalizm, aż do demagogii posunięty, drudzy despotyzm jaki zdawał się lubić wywierać, nadmienię tylko, iż choć wyobrażeń jego religijnych bronić nie chcę, i jako katolik odszczepieństwa od wiary świętej i zrzeczenia się kapłaństwa usprawiedliwić nie mogę, przecież powstać muszę przeciw tym, którzy go za ateusza ogłaszali. Ci wszyscy nie znali chyba spraw Staszica, nie czytali żadnego z dzieł jego. Duchowni szczególnie powstawanie jego przeciw fanatyzmowi wytłómaczyli sobie za obrazę religii i osądzili go jako bezbożnika. Pisma jego i czyny dowodzą, że co do religii był prawdziwym i gorliwym chrześcianinem, wszędzie religią objawioną za pierwszą zasadę moralności i społecznego porządku zaleca. Co do politycznego systematu był za monarchią konstytucyjną, za jednotą władzy silną, ale prawami opisaną i nigdy elekcyjną. Ztąd gdy był bez znaczenia, przemawiał za prawami ludzi, gdy dostał władzy był ścisłym, a nawet surowym wykonawcą prawa, i wymagał bezwarunkowego posłuszeństwa zwierzchności jako reprezentującej, że tak powiem, żyjące prawo. Byli tacy, co go o próżność i o żądcę słynności posądzali. Ten zarzut opierali na tem, iż chętnie przyjmował urzędy i znaki zaszczytne, że się w dni uroczyste przybierał w ordery, co jak mówili nie przystało na filozofa abnegata. Ci nie pamiętali, że towarzystwo nasze jest zupełnie nie podobne do spartańskiego, lub rzym-

skiego z czasów Rzeczypospolitej, że u nas Diogenes prędzej byłby wyśmiany jak podziwiany, a nawet i w Atenach nie uszedł szyderstwa, że Plato chociaż filozof nosił płaszcz szkarłatny, i Diogenesa dziwactwo zarzutem próżności zawstydził. Nakoniec Staszic, żyjąc w towarzystwie, stosował się do jego zwyczajów, za dziwaka i oryginała uchodzić nie chciał, nie mógł nie przyjąć świadectwa swoich zasług, nie mógł odmówić a skoro przyjął nosić je musiał. Co do żądzy słynności, iż ona była główną pobudką spraw Staszica, trudno jest zajrzeć w serce ludzkie, aby o tem z pewnością sądzić, a gdyby i tak było, żądza ta skoro takie skutki wyprawdzała dla ludzkości i kraju, nie ujmuje zacności spraw, i nie poniża człowieka. Staszic istotnie mówiąc może nieco przesadzał w gorliwości, przez którą nad siły jednemu człowiekowi użyte brał na barki swoje ciężary, i dlatego nie wszystkim przedmiotom wydołał, przez zmordowany pracą i wiekiem umysł przedmioty niektóre prowadzone mogły być źle, z mniejszym pożytkiem dla kraju. Wina to jest tych, którzy go zbyt obarczali, bo on niczego nie szukał, ale też niczego nie odmawiał i niczem się nie zrażał. Źli ludzie, a szczególnie podwładni umieli go nie raz zmordowanego podejść i ufność jego zdradzić. Nie raz mu co innego czytali, a nie to co czytali podsuwali do podpisu, i tak asygnacye chwytali. Że razem zasiadał i w komisji spraw wewnętrznych i w komisji oświecenia, których najczynniejszym był członkiem, w sporach między temi dwoma komisjami, nie raz dwa

przeciwnie sobie zdania podpisem swoim oznaczył, tak, iż zdawało się, iż Staszic nastaje na Staszica. Ztąd poufali przyjaciele pozwalali sobie żartów. Raz na dobrze dobranem zgromadzeniu obiadowem u ministra sprawiedliwości Marcina Badeniego, na którym sami przyjaciele Staszica znajdowali się, pokazano mu na piśmie podobne zdarzenie, a Badeni rzekł do niego: „Widzisz w jaką przez zbytnią gorliwość podajesz się śmieszność, sam siebie lajasz, wierzaj mi, więcejbyś krajowi dobra przysporzył, gdybyś tyle na siebie nie brał; bobyś tym przedmiotom mógł więcej dać uwagi, na których się znasz i lepiejbyś je prowadził, a tak chcąc wszystkim dogodzić, żadnemu nie dogadzasz“. „A jeżeli ja nie zatrudnię się i nie będę pracował, kto pracować będzie?“ odezwał się Staszic. „A jak umrzesz? czy świat już przez to stanie, tyle lat kraj rządził się bez ciebie i po tobie rządzić się będzie. Nie miej tej miłości własnej, że ty jesteś tą osią, na której świat się obraca“. Obrażony tem Staszic porwał się z gniewem od stołu i wyszedł, lecz po obiedzie Badeni udał się do niego, wytłómaczył się, przeprosił go, i ten drobny spór nie zachwiał ich przyjaźni i poufałości, do śmierci ich sobie wzajemnie dochowali. Jednemu Badeniemu wolno było wszystko mu mówić, nawet surową prawdę, przyjmował ją i nie gniewał się. Raz po rozprawie nad rosnącą zamożnością kraju naszego, którą Staszic seryo i żywo utrzymywał, a którą Badeni zaprzeczał, ten ostatni, wyzierając na ulicę, spostrzegł z okna wśród mocnego mrozu, na pół bosego i w podartej sier-

między idącego za turką drzewa, ciągnioną przez mierzaną, wychudłą szkapę włościanina; wzięwszy więc Staszica za rękę rzekł do niego: „Przypatrz się twojej zamożności kraju”. Na tych obiadach u Badeniego powszechnie żywe staczały się rozprawy, szczególnie z Linowskim Staszica, do których ten ostatni mimo czasem ostrej krytyki jego teorii i rządu tak nawykł i tak polubił, że kiedy siedzący u stołu nie byli w humorze sprzecznania się, on sam te spory wywoływał mówiąc: „Cóż to panowie milczycie? ja jestem gotów odpowiadać” i nie raz przepłacił przegraną, gdyż Linowski był wymowny, dowcipny, logiczny i satyryczny, Staszicowi zaś czasem dla natężonych i skupionych myśli słów brakowało. Najczęściej dysputa toczyła się o środki administracyi kraju. Staszic bronił centralizacyi, bo był monarchistą, Linowski w duszy republikanin nastawał na nią, i nazywał ten rząd najgorszy, który się we wszystko wdaje, o wszystkim chce wiedzieć, i przez to krępuje nawet swobodę gospodarczego przemysłu. Tam, gdzie wszyscy przez interes własny dobrze robią dla siebie, dobrze się dzieje w kraju; bo dobro powszechne składa się z pomysłowości indywidualnych. Rząd ani wszystkiego rozpocząć ani wszystkiemu wydołać nie może, to utrzymywał Linowski: „Bogacie” mówił „urzędników, oficyalistów, magazynierów, przedsiębiorców, a szarżacie mieszkańcami i obywatelami, dręczone ich niepraktycznemi rozporządzeniami, pismami, rubrykami, raportami, mordujecie ich cierpliwość, zniechęcacie, wrażacie nieufność i podejrzliwość do wa-

szych zapytań i postanowień. Chcecie wszystko wiedzieć i nie wiecie, bo mieszkaniec właściciel nauczył się taić wszystko przez bojaźń nowych ciężarów, a urzędnicy wasi przekupni kłamią przed wami. Gdzie rząd nie szpieguje, nie śledzi każdego kroku, tam się wszystko dzieje otwarcie, a zatem i on wszystko wie. Gdzie się za tem ubiega, ażeby wszystko widzieć i we wszystko się wtrąca, nigdy się prawdy nie dowie. Chcecie naprzykład oświecać lud i przymuszacie dzieci wiejskie do chodzenia do szkółek, sprawcie im wrzody buty i sukmanki, bo trudno, aby boso i nago w mrozy przebywali półmilową podróż. Uwolnijcie ich ojców od ucisku, od ciężarów od posług, które ich ubożą a oni się przy zamożności sami oświecą, w nędzy na co się im zda oświecenie, chyba na to, aby od siebie uciekali, lub porwali za kosy⁷. Bronił się Staszic, lecz, że mało go kto popierał, zawsze prawie jeżeli nie przekonany, to przynajmniej przegadany wyszedł. Lecz te obiady u Badeniego tak się przyjemni zrobiły przez poufałe z sobą obcowanie i rozprawianie ludzi najznakomitszych w kraju i z patriotyzmu, z nauki, z rozumu, dowcipu, iż zaproszonym być na nie za zaszczyt uważano; bywały zabawne, wesołe, uprzyjemniali je: Niemcewicz, Ludwik Osiński, spory przenosiły się często z polityki do literatury i to, co miało być zabawą, stało się nieraz nauką. Gdy się rozeszła wieść o tego rodzaju zgromadzeniach, rozsądniejsi rodzice, mający zażyłość z Badenim, prosili go, jak o łaskę, aby wywiał czasem ich synów do tego towarzystwa,

dla zbliżenia ich i zapoznania z ludźmi ważniejszymi w kraju i z sprawami, które tam z wszelką wolnością rozbierano, zaprawiając krytykę dowcipem i wesołością daleką od uszczypliwości. Pan ordynat Zamoyski często synów swoich do tego grona przysyłał.

Nie raz Staszcie doznał zawodu w zastosowaniu swojej teorii do praktyki. Raz w piękny majowy poranek wyszedłszy na balkon mojego domu na Świętokrzyskiej ulicy, z którego był widok na tyły pałacu księżny Aleksandrowej Sapieżyny, ujrzałem bramę otwierającą się i usłyszałem turkot dzwoniący lichej kolasy, parą mizernemi szkapami, w obdartym zaprzęgu ciągnionej i powożonej przez zgarbionego w lichej odzieży starego stróża czy turmana. W tym półkrytku siedział Staszcie tulący się w głębi jego, ubrany w płaszcz i kryjący się przed okiem widzów. Poznaawszy i po turkocie i po lichocie znanego w całej Warszawie pojazdu Staszica, dostrzegłem jego osoby, lecz niezmiernie zdziwiony byłem widokiem za tym pojazdem, i na koźle obok siedzącego woźnicy, czepiających się lub umieszczonych ośmiu czy dziesięciu małych wyrostków, nie więcej jak od ośmiu do dziesięciu lat liczących, tem więcej zdziwiłem się spostrzegłszy z pod fartucha tego pojazdu wyzierających jak główki wróbli dzieciuchów, których Staszcie gdzieś wywoził. Przed jedenastą godziną rano, o której zwykle sesye po biurach zaczynały się, ten sam turkot tego pojazdu sprowadził mnie na ganek i ujrzałem Staszica już powracającego z przejażdżki lecz sa-

mego tylko, jedynie dwóch czy trzech chłopców biegło około jego pojazdu, lub się go czepiało. Zszedłszy się z Staszicem zapytałem go co znaczyła ta przejażdżka, dokąd i w jakim celu ją przedsięwzięła? „Dojrzałeś mnie chociaż się ukryłem, a więc ci powiem. Wiesz, że piszę poemat pod tytułem *Ród ludzki*, znasz go z wyjątków, teraz układam w myśli ryciny, wyobrażające moje twierdzenia, przez jakie środki natura doprowadziła dzikiego człowieka, błędzącego po lasach do zaspokojenia swoich potrzeb, jak głód zmusił go do karmienia się żołądźmi i chwastami, zimno do okrycia nagiego ciała skórami zwierza, jak był wprzód łowcem, nim ujarzmił zwierzęta, następnie pasterzem i właścicielem, jak własność doprowadziła go do stowarzyszenia, i do początkowej cywilizacji. Chciałem więc to naocznie widzieć i teorię doświadczeniem sprawdzić. Wziąłem kilkunastu chłopców, przegłodziłem ich przez dni parę w zamknięciu, wywiozłem głodnych do bielańskiego lasu i powiedziałem im: Głodni jesteście, tu nam nikt jeść nie da, bo tu las, trzeba się wam samym starać o pożywienie, natura tu rozsiała żywność, są dzikie owoce, jest żołądź, są ptaki, są zające i t. d.; szukajcie, gońcie, chwytajcie, a głód zaspokoicie. Cóż na to powiesz? chłopcy zamiast się wdzierać na drzewa, szukać zwierza, skupiły się, pokładły się, zaczęły przeraźliwie płakać i wołać jeść, gdy moje namowy a nawet łajania nie pomogły, musiałem ich zaprowadzić przed blizką oberżę i nakarmić, ledwie się najedli do syta, otóż dopiero rozbiegli się po lesie, zaczęli się

wdrapywać na drzewa, wykłócać gniazda ptasie, gonić po lesie zwierza jakby ogary z krzykiem i hałasem. Jakiego więc widoku nie sprawił mi głód, sprawiła mi rozpusta młodych hultajów, zgromadzić ich na powrót nie mogłem, i ledwie z kilkoma spokojniejszymi powróciłem, to mnie jednak naprowadziło na rozmaite uwagi i wnioski o naturze człowieka". „Nie mogło być inaczej", odpowiedziałem, „bo ksiądz Radea stanu nie wywiozłes dzikich chłopców do lasu, lecz z miasta, z miejsca cywilizacji, gdzie już nie była im odcą ani żywność, ani sposobu jej nabycia".—„To prawda" odrzekł, „ale gdyby się byli znaleźli zabłąkanymi w lesie, z któregooby przez kilka dni wyjść nie mogli, cóżby im płacz pomógł"? „Wtenczas" odpowiedziałem „możeby potrzeba utrzymania życia przymusiła do szukania w tym sposobie pożywienia, ale las bielański nie jest puszcza, oberża w nim jest i klasztor, a Warszawę z niej widać, i ledwie nie stragany przekupek, u których bułki kupowali lub chwyтали". „Nie sądz mnie tak nierozsądnym, abym o tem zapomniał, jednak to doświadczenie nie było bez pożytku. W tych dzieciach nie odezwała się natura ludzka dzika, ale natura ich rodu słowiańskiego, leniwa, próżniacza, zebrząca w głodzie, rozpustna i zuchwała w dostatku i w nasyceniu, zdradziła się natura ich ojców włościan na wsi, rzemieślników w mieście, tych pierwszych nie chcących w głodzie zaradzić pracą rąk, lecz oblegających dwory z workami na barkach, tych drugich ubożających próżniactwem i rozpustą. Tak, stanęła przed mem okiem ta

choroba właściwa słowiańskiemu plemieniu, ten trąd, ten rak, co go toczy, lenistwo, próżniactwo, marnotrawstwo, zuchwałość i rozpustna swawola⁷.

W 1812 r. gdy konfederacja Król. Polskiego i rząd Księstwa Warszawskiego oddalił się z Warszawy do Krakowa, Staszic chociaż do rządu należał, mógł z wszelkiem bezpieczeństwem pozostać w stolicy, jak to wielu urzędników uczyniło, oddalić się jednak przedsięwziął i chwile burzy w Bejskach u Marcina Badeniego członka podówczas konfederacji i Rady stanu, dyrektora dóbr i lasów narodowych przetrwać. Gdyśmy się z Badenim wybierali w tę podróż, Staszic nas na kilka godzin własnym pojazdem i własnymi końmi uprzedził, aby wprzód stanąć i wspólny nocleg o mil kilka zamówić. Wyjechawszy w sześć godzin po Staszicu, dogoniliśmy go o milę blisko przed noclegiem, pojazd jego stał na drodze, konie się poplątały, gryzły się i kwiczały, furman ani posługacz radzić sobie nie umieli. Staszic łający ludzi siedział zachmurzony. Zastanowiliśmy się, wysiadł do nas i rzekł: „Poratujcie mnie, wszak to ja dziewięć godzin zgłodniały jadę. Coś się stało moim koniom, isć nie chcą, gryzą się, lejcowe cofają się nieustannie do dyszlowych, nakoniec tak się poplątały, porwały zaprzęgi, że jechać dalej niepodobna⁷”. Wzięliśmy go więc do naszego pojazdu, a zostawiliśmy jednego z naszych służących, aby jakkolwiek zaradziwszy temu wypadkowi, choć powoli dążył za nami na nocleg.

W pół godziny dognał nas pojazd Staszica. Gdy się Staszic zapytał, jak sobie poradzili? Słu-

zący Badeniego na doradcę zostawiony, odezwał się:

„Któż też kiedy zaprzęga ogiery do dyszla, a klacze w leje”. Otóż odkryła się przeszkoda i przyczyna z niepraktyczności i Staszica i sług jego pochodząca. Badeni, który nigdy nie przebaczał Staszicowi i ciągle go z jego teorii zwracał do praktyczności, rzekł do niego: „Jesteś mędrce, filozofem, a nie wiesz i nie umiesz tego, co najprościej każdy człowiek wie i umie. Bujasz po niebie, po powietrzu, a nie umiesz jeździć po ziemi, lepiej, żebyś pieszo chodził, jak dawni filozotowie, których naśladujesz. Zaciekasz się za niepodległością rozumu, za swobodą, wolnością swoją i ludzi, mniemasz się niepodległym, a jesteś niewolnikiem swoich sług, życie twoje jest na ich łasce. Tłómaczyłeś Buffona historię natury i zwierząt, a nie doczytałeś się, że klacze nie zaprzęgają się z ogierami. Gdybyśmy byli nie nadjechali, byłbyś musiał nocować na drodze, lub szukać pieszo noclegu. Czy to nie wstyd dla mędrca, dla filozofa, że w czem sobie rady dać nie mógł, mój prosty sługa swoim prostym poradził mu rozsądkiem i nadsztukował jego rozum”.

„A przecież—rzekł Staszic—choć ja się powoli włóczę, nigdy i nigdzie uprzedzić się nie dam, i wszędzie tam jestem, gdzie Waćpanowie, co się nazywacie praktycznymi ludźmi”. „Czy nocowałbyś dziś z nami z tem twojem uprzedzeniem?”—odrzekł Badeni. Śmiał się potem Staszic sam z siebie i z żartobliwości dowcipnego Badeniego.

Gdyśmy przyjechali do Bejse pięknego wiej-

skiego mieszkania Badeniego, gościnnie gospodarz umieścił nas wygodnie, przyjęci zostaliśmy po polsku, umieszczeni i usłużeni po zagranicznemu. Dano mi stancję obok Staszica. Okna jego pokoju wychodziły na południe. Zima była ostra w miesiącu lutym; Staszic lubił niezmiernie ciepło, i kazał potężnie palić w piecu. Gdy w marcu pogodniejsze i cieplejsze dni nastąpiły, ubrany w wytarte futro pod płaszczem, wychodził, acz często po rozmarzającym błocie do pięknych na wzgórzach gaików, które otaczają nadobne Bejse położenie, tam przechodząc się rozmyślał nad swoim wielkim poematem *Ród ludzki*, i jak powiadał, odświeżał zmordowany pracą umysł, i szukał w świeżem powietrzu i w śpiewie ptasząt zgoła w odmładniającej się naturze natężenia. Gdy powrócił około południa zamykał się w swoim ciepłym pokoju i pisał, nie wychodził z niego, aż na obiad, po obiedzie znowu pisał. Wieczorem łączył się z całym towarzystwem, które składało się z rodziny Badeniego z zięciów i córek, syn zaś w tym czasie był w Dreźnie. Razu jednego wszedłem do niego w samo prawie południe, siedział w rannem ubraniu przy gorącym piecu wszląmcy na głowie, z odsłoniętym czołem i z częścią przednią głowy obnażonej z włosów. Promienie słoneczne przez szkło okien biły mu w samą czaszkę, gorąco było i od pieca rozpalonego i od słońca nieznośne. „Jak ksiądz Radca stanu możesz w takim prawdziwie piecu babilońskim wysiedzieć, apopleksyi dostaniesz, zwłaszcza, iż uważam, że piszesz i że umysł natężasz”. „Ja—odrzekł—lubię ciepło, krew

we mnie już stygnie, trzeba ją rozgrzewać, a zwłaszcza pisząc dzieło poetyczne". „Możnaż będzie co usłyszeć? znam małe wyjątki". „Chętnie—odpowiedział—ale mi szczerze powiesz, jak znajdziesz wiersz nie rymowy, biały i obrazy, które ci przeczytam", i zaczął z silną, dobitną deklamacją czytać mi ustęp, w którym daje obraz zalotności kobiet ujażmionych władzą mężów, gdy dla złagodzenia swoich tyranów domowych wysadzały się na upiększenie swych wdzięków, aby ich miłość i czujność zjednać. Słyszając ten ustęp prawdziwie rozumiałem, że to zbyt gorąco mózg Staszica rozgrzało i we wrzący zamęt go wprawiło. Obraz niepojętego dziwotworu jeszcze dziwniejszym czyniła białych wierszów harmonia naśladowcza, na którą Staszic wysilać się lubił, a która nie była czem innym dla słuchu, jak tylko młotami twardymi bijącemi o uszy.

Staszic albowiem chcąc być dobitnym, zmienił często samowolnie gramatyczne zakończenie słów i ich twardością, którą brał za moc, raził i kalczył uszy. Powiedziałem wyżej zdanie moje o tym dziwotworze poetycznym, o ile jest ważnym z celu, z głębokich a często błędnych pomysłów, z erudycji pisarza, o tyle jest najdziwniejszym plodem co do formy, co do imaginacji, co do obrazów, co do wierszy do tego stopnia, że aż na pośmiewisko twórcę swego wystawia. Mógłże taki mędrzec rozsądny, poważny wpaść w zasadzkę i w sidła niesfornej imaginacji, czyż znając Staszica nie przychodzi na myśl owo zdanie Cycerona: *Homo non omnibus horis sapit*. Zkądże ta słabość prawie po-

wszechna naturze ludzkiej nie tem pragnąć zasły-
nać, do czego nas natura zdolnością uposażyła, lecz
właśnie tem, w czem nam nawet zdrowego wyobra-
żenia odmówiła. Zkąd przyszło mężowi tak mądre-
mu zapragnąć zostać poetą, gdy harmonia, która
jest szatą poezyi, która ułatwia przejście jej do ser-
ca, słuchowi jego tak była obcą, jakby kto oło-
wkiem zalał uszy jego. Tak on zrobił, jak ten głu-
chy, co wrzeszcząc myśli, że śpiewa, lub ten skrzy-
picieł, który przebiegając na strunach palcami rzę-
poli i mniema, że gra. Co do harmonii naśladow-
czej byłem świadkiem skutku, jaki pod piórem Sta-
szica raz uczyniła. Przed sejmem zdaje mi się 1811
r. król saski Fryderyk August zjechał do Warsza-
wy i zwykł był prezydować w Radzie Księstwa
Warszawskiego, w której rozbiegano projekta do
praw i urzędzeń, mających być przedstawionemi od
tronu sejmowi. Staszic wygotował był referat o po-
trzebie zapomożenia kraju przemysłem, fabrykami,
kopalniami dotąd zaniedbanemi, górnictwem i t. d.
Referat był długi, a choć dobitnie wysłowiony, król
znużony zdawał się drzemać, gdy właśnie Staszic
przychodził do wyliczania przeszkód, tamujących
u nas handel, a zatem dowodził potrzeby poprawy
dróg, temi słowami wyrażając się: *„Gdzież jest
u nas turkot, ruch bryk po drogach brukiem bru-
kowanym”*. Na te tak nieszczęśliwe, a naumyślnie
nagromadzone twarde zgłoski, król, jakby turkotem
wozu przebudzony ocknął się i zapytał p. Stanisła-
wa Potockiego, co to jest? a gdy mu p. Stanisław
wytlómaczył, uśmiechnął się. Staszic więc odniósł

tryumf nad snem królewskim, lecz nie nad słuchem.

W tak miłym towarzystwie przepędziłem kilka tygodni w domu zacnego Badeniego. Staszcie wyjeżdżał czasem do Dobiesławic, blizkiego majątku księżny Aleksandrowej Sapieżyny, która tam zjechała i którą on odwiedzał, wracał jednak zawsze do Bejse.

Byli tacy, co nietylko za młodszego życia jego, ale nawet w sędziwości posądzali go o zbytęzną ku płci żeńskiej skłonność, a nawet sądzili mieć powody do tego w znalezionych po jego śmierci poszlakach. Do tego mniemania czyli było słuszne lub nie, sam Staszcie dostarczał pozorów, chociaż od tego rodzaju zarzutów swoją surowością obyczajów, moralnością, wiekiem już późnym i zanedbaną postacią, zdawał się móżd być wolnym. W młodości swojej jak go pamiętam był nader przystojny, nawet powabny i ugrzeczniony, ubierał się starannie jak akademik w czarną francuską z płaszczykiem i kołnierzykiem akademicką suknię, gdy był mistrzem przy młodych Zamoyskich. Chętnie przedstawiał w towarzystwie kobiet i bardzo im się podobać umiał. Powiadała mi jedna podeszła matrona, żona mojego i jego przyjaciela Joachima Owidzkiego, iż raz podchwyciwszy go, że nieco wolniej niż przystało na księdza, (gdyż właśnie się na kapłana wyświęcił), rozprawił o kobietach, rzekła do niego: „*Monsieur l'abbé rapellez vous qu'en qualité de prêtre, Vous avez renoncé aux femmes*“. „*Par donnez Madame, j'ai renoncé au mariage, mais*

jamais aux femmes“. Uważano w późniejszym jego wieku w Warszawie, iż darami swojej dobroczynności hojniej wspierał nieszczęśliwe kobiety, niż mężczyzn. Opiekując się teatrem, bo czemuże się Staszic nie opiekował, na benefis zaczynającej młodej aktorki, gdy jej gra, a może twarz podobała się, zawsze kilkanaście czerwonych złotych za nadesłany bilet płacił. Lubił uczęszczać na przedstawienia teatralne, w godzinę wieczorną, przed otwarciem teatru brał na siebie wytarte futro lub płaszcz stary, twarz i głowę szmatą jakąś lub chustką czarną obwijał i w niepozornej czapce szedł na paradyż i tam się sztuce przypatrywał, często jednak i mimo tego przebrania poznany bywał. Uczęszczał na egzamina szkoły teatralnej, która się pod dyrekcją Ludwika Osinińskiego kształciła, uważał pilnie skoki baletniczek i deklamacye aktorek, zajmował powszechnie krzesło prezydującego między członkami dyrekcji teatralnej. Zabawnie było patrzeć, gdy ten poważny, surowy, z brwiami nastrzępionymi i z pochmurnym wzrokiem starzec, za każdym zręcznym skokiem baletniczki, rozchmurzał czoło, krasiał twarz uśmiechem, ręką i głową potakiwał i poklaskiwał zręczności. Raz nawet z aktorkami naraził się na następującą śmieszność. Surowy, ale podług swego widzimisię i w ciągłym o to sporze z Kopczyńskim gramatyk ściśle pilnował, aby nie wymawiano w Polsce, ale Polsee. Na nieszczęście wszystkie aktorki wymawiały Polszcze. Staszic je ciągle poprawiał, lecz, że aktorki często myliły się, zniecierpliwiony zawołał, a zawsze to nieszczęśliwe

.... i powtórzył kilkakrotnie z przyciskiem drugą sylabę bez pierwszej. Młode aktorki rumienić się zaczęły, a potem uśmiechać. Publiczność to spostrzegłszy odezwała się głośnym śmiechem. Zdziwiony Staszic, jeszcze się nie spostrzegł, aż go ostrzeżono, wtenczas rzekł: „Proszę mnie niepodchwytwać”. *Castis omnia casta* i sam się śmiać zaczął. Gdy się to zdarzenie dostało do paszczy Okołowa, na szyderstwo wystawiło poważnego starca.

Powiedziałem wielkie zasługi, nie zrównane ofiary, znakomite zdolności tego prawdziwego mędrca. Te małe w potocznym życiu skazy, czyż mogą ująć cokolwiek jego wartości. Są to wady natury ludzkiej, słabej nawet w najsilniejszych. Staszic mimo całej mądrości swojej nieraz sobie pewnie powtarzał *Homo sum nihil humani a me alienum puto*. Zawsze zostanie on w pamięci ludu polskiego dobroczyńcą kraju, zawsze będzie mędrce z dzieł, nie zrównanym obywatelem z czynów i darów, które mi ludzkość uposażył. Żywot jego w № 43 „Przyjaciela Ludu“ tomu drugiego na rok 1833, przychylną został współziomka jego skreślony ręką, który godnie wynurzył wdzięczność narodową dla tego męża, i bezstronnie go z pism jego osądził. Nie zataił prawdy, że styl jego jest twarde i nie do naśladowania, czyny do naśladowania trudne.

Z rycin, które wyszły po śmierci Staszceica, najpodobniejszy z twarzy i układu przedstawia wizerunek ta, którą zaraz po śmierci jego odbito. Wyraz jego twarzy przypomina starożytnych mędrców,

gdyby zamiast sukni francuskiej, przywdział był togę lub płaszcz grecki, możnaby go było wziąć za Platona lub Arystotelesa. Mam na mojej ścianie ten wizerunek mistrza i przyjaciela mego, napisałem pod nim te cztery wiersze:

W pracach nad szczęściem kraju i ziomeków oświata
Umysł mń krzepił Zeno, sercem władał Plato,
Lecz jak się wznieść nad obu, szukał wzoru w niebie,
I zdołał więcej kochać ludzi, niżli siebie.

Lubo Staszcie, rozkazawszy się pochować na Bielanach, zalecił grób swój okryć prostym głazem i tego dopełniono, myślałem przecież, że obdarzony przez niego kraj, tego, który własnym kosztem Kopernikowi wznioł posąg, uczei jakim grobowcem lub pomnikiem, godnym jego i narodu. Gdy to po upływie lat dwudziestu kilku nie nastąpiło dodałem dwa następujące wiersze.

Z jego daru Kopernik w spiżu ziomekom ożył,
Jemu na pomnik ziomek i głazu nie złożył.

Dalszy ciąg o Radzie stanu Księstwa Warszawskiego.

Marcin Badeni.

W gronie Rady stanu trzech zasiadło radców, którzy jeszcze strój narodowy polski zachowali, to jest: Marcin Badeni, Krakowianin, Rządkowski, Mazur i Franciszek Grabowski, dawniej podstarosta krasnostawski, a za Królestwa Polskiego kasztelan i później wojewoda. Ci dwaj ostatni jeszcze nawet golone głowy zatrzymali. Byli to dawni prawnicy polscy, biegli w woluminach legum i w sprawach krajowych, nader pożyteczni rządowi Księstwa, a szczególnie Radzie stanu, która razem składała sąd kasacyjny, do której więc przychodziły czasem sprawy początkiem swoim czasów jeszcze rzeczypolitej polskiej sięgające, a zatem dawnym prawom polskim podległe. O nich nowe pokolenie słabe

miało wyobrażenie, a wychowawcy rządu austriackiego i pruskiego żadnego.

Marcin Badeni, nie obcy żadnym przedmiotom, pod rozbiór Rady stanu przychodzącym, był tak znakomitym mężem z cnoty, z prawości, z rozsądku i dowcipu, iż należy o nim jako o współniku prac i jako o przyjacielu obszerniej pomówić. Ktoby go chciał dokładniej poznać w życiu jego publicznem, niech raczy przeczytać mowę moją, na obrzędzie pogrzebu jego z urzędu mianą. Nie moja wina jeżeli się tam znalazły pochwały, ten mąż to sprawił, że same proste opowiadanie czynów jego mieć może ten pozór. Badeni pod kontuszem, bez znajomości obcych języków, bez nauki był prawdziwym geniuszem w swoim rodzaju. Co innym mozolna praca, nauka i prawidłowe czytanie nadaje, on otrzymał z przyrodzenia, to jest dowcip, przenikliwość, rozsądek, trafność sądu, wielkie i długie doświadczenie, a wśród niego bystre zapatrywanie się i zgłębianie rzeczy i ludzi. Żyjąc na dworze Stanisława Augusta, temi zaletami umysł swój zbogacił. Ciągłe przebywanie z najznakomitszymi ludźmi kraju, tak szczęśliwe wyprowadziło skutki na polor i ogładę jego osoby, iż powszechnem zdaniem za najgrzeczniejszego pod szatą polską był miany i w przysłówie narodowe obróciło się „*grzeczny jak Badeni*” co i Niemcewicz w pismach swoich powtórzył. Dowcip miał tak trafny, z taką zręcznością i delikatnością go używał, iż czy w publicznych, czy w prywatnych posiedzeniach, nieraz nim zabawił, rozśmieszył, a nigdy nikogo nie obraził. Mało gdzie bywał

z powodu zatrudnień urzędowych, lubił swój dom, swój obiad i towarzystwo kilku dobranych przyjaciół, wszędzie był zapraszany, żądany i mówiono jak o fecie jakiej o zebraniu, na którym się znajdował. Dom wojewody Ostrowskiego powszechnie nawiedzał wieczorami, do domu kasztelanowej połanieckiej na obiad zaproszenia nie odmówił i czasem w nim wieczór przepędził. Zawsze miły, żartobliwy, wiele miał do mówienia o ludziach i sprawach wieku Stanisława Augusta, wszystkich znał, z wszystkimi żył, o wszystkich dobrze mógł sądzić. Gdy w obecności jego mówiono po francusku, chociaż po niektórych słowach bystrością rozumu domyślał się o czem mowa, przez ciekawość atoli nieraz się zapytał przyjaciela o czem mówiono, nieraz nawet żalił się na siebie, że się tego języka nienauczył. „Wprawdzie wzniosłbym się był może wysoko, a może i tak wysoko jakbym sobie nie życzył ze znajomością tego języka“; mawiał do nas i zaraz przytaczał anegdotę następującą: „Po rewolucyi Kościuszki, wysłany byłem przez księcia Stanisława Poniatowskiego do Petersburga; powracając przejeżdżałem przez Rygę, gdzie mieszkał generał Igielström, którego cesarzowa Katarzyna, za powstanie warszawskie usunęła od dowództwa i Rygę mu na mieszkanie przeznaczyła; uwiadomiony o moim przejeździe wezwał mnie na obiad do siebie i wszedł zemną w rozmowę o niedawnych wypadkach, żalił się szczególnie na niesprawiedliwość i intrygę moich współziomków: „padłem ofiarą“ — rzekł — „mojej ufności w osobach, które mnie zdradziły, oskarżono

mnie przed monarchinią o zbytnią surowość względem Polaków i o rozdrażnienie ich ducha. Nie byłem tak surowy, jak tego rozkazy imperatorowej wymagały, może zasłużyłem przez to na nie łaskę monarchini, lecz nie na nienawiść Polaków; przecież mnie potępiają i szkalują”. Wymawiałem moich ziomków i wszedłem z nim w rozbiór przyczyn, które i zawiązały i przyspieszyły powstanie. Zgoła wdaliśmy się w rozprawę polityczną. Rozmawialiśmy, ja językiem polskim, on rosyjskim, gdy przyszło do pożegnania, rzekł do mnie: „Jaka to szkoda, że Wpan nie umiesz po francusku, byłbyś był pewnie na te trudne czasy zdolnym króla ministrem”. „I byłbym wisiał” odpowiedziałem, zaczął się śmiać do rozpuku z mej odpowiedzi i rzekł: „Masz przyczynę, wysokie stopnie są w takich czasach niebezpieczne, szczęśliwy kto ich nie pragnie”.

W Bejsceach, trawiliśmy chwile nader swobodne, póki konfederacyi jeneralnej, od której się już był książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, marszałek jej oddalił do Sieniawy, nie powołał na posiedzenia wice-prezes] Rady Stanisław ordynat Zamoyski. Badeni pokazywał nam swoje gospodarstwo, swoje piękne zabudowania. Majętność swoją ozdobił pięknym domem, raczej pałacem, przez architekta Kubickiego porządkiem włoskim z kolumnami wystawionym i do fortuny właściciela szczelnie przymierzonym, na którego przyczówek sam Badeni dał napis: *Praca darzy spoczynkiem*. Gdyśmy podziwiali jego piękny i obszerny majątek rzekł do nas: „Los mi wprawdzie posłużył, mało

mając po rodzicach, przyszedłem do znakomitego majątku, teraz mi do dwukroć sto tysięcy złotych przynoszącego, winienem go szczęśliwym zdarzeniom, sobie samemu, a wielką część i początek jego księciu Stanisławowi Poniatowskiemu, podskarbiemu Wkoronnemu, synowcowi królewskiemu, który posługi moje wiernie i szczerze dopełnione, z królewską wspaniałością i hojnością wynagrodził. Dobre czasy, popłata zboża, powiększyły go. Wielu zazdrośnych dziwi się, zkąd do tak znakomitego mienia przyszedłem, wiedzą, że zarządzałem dobrami stołowemi króla, które ksiązę Stanisław dzierżawą trzymał. Może mnie posądzają, że szedłem drogą ubitą, przez tylu niewiernych wyręczycieli w interesach panów. Wytlómaczę się przez dokumenta, zkąd i jak sama fortuna do mnie przysła. Wiecie, że brat mój rodzony rejent koronny, zostawał przy królu Stanisławie w jego gabinecie. Widząc, iż król ciągle szarpany w dochodach z dóbr swoich stołowych, to przez Tyzenbauza, to przez następcę jego Rzewuskiego marszałka, żali się i w ciągłym będąc niedostatku, szuka człowieka, któremuby mógł powierzyć dozór administracyi tych dóbr, brat więc mój nastęrczył mnie królowi, to zbliżyło mnie do osoby Stanisława Augusta i do jego rodziny. Była to właśnie chwila, w której król zaproponował synowcowi swemu, aby, przyjąwszy na siebie wszystkie ciężary, wydatki, pensye i t. d., te dobra obciążające, wziął je bądź w administracyą, bądź w dzierżawę, zarządzał niemi jak mu się podoba, wszystkich zysków poszukiwał dla siebie, byleby królowi

do szkatułki jego na potoczne wydatki sto tysięcy czerwonych złotych wypłacał. Książę się wahał, ale chcąc wiedzieć z dokładnością, ile może królowi dochodu bez swojej straty zapewnić, użył mnie do zwiedzenia i do wybadania intraty tych dóbr. Zwiedziwszy, wybadawszy, zaręczyłem księciu z wszelką pewnością, iż, płacąc królowi 100,000 dukatów, może mieć niezawodnego dla siebie zysku 50,000 czerwonych złotych, jeżeli gospodarstwo poprawi, z zaniedbania dobra podźwignie i w niektórych czynsze postanowi. Książę Stanisław już mnie dobrze znając zastanowił się, a potem rzekł do mnie, „podejmże się administracyi z zupełną władzą zaprowadzenia wszelskich ulepszeń. Ja na twoje słowo z królem układ zrobię. Jeżeli dasz corocznie bez zawodu 150,000 czerwonych złotych, reszta zysku będzie twoja, lecz musisz mi zaliczyć z góry pierwszą ratę“, która do 30,000 dukatów wynosiła. Prosiłem o kilka dni do namysłu, najwięcej chodziło o pieniądze. Obiegnęłem bankierów, wytłumaczyłem im rzecz, znalazłem kredyt i przyjąłem administracyę i jej warunki. W pierwszych latach mało było zysku na moje trudy, lecz w następnych dochodziły od 100 do 300,000 złotych. Oto macie rejestra, z których się otwarcie i jasno księciu Stanisławowi tłumaczyłem, nie tając zysków. Książę podpisywał rejestra, cieszył się i oceniał moję otwartość, rzetelność i ufność. Po podziale Polski, ekonomie królewskie wpadły pod panowanie rosyjskie, król po abdykacyi został na pensyi trzech dworów. Skończyła się administracya księcia Stanisława Poniatowskiego,

potrzeba było oddać dobra rządowi rosyjskiemu. W tych dobrach były znaczne remanenta zbożowe, składy i zapasy, papiery i akta, jedne do króla, drugie do księcia Stanisława należące. Podąłem ich spis księciu Stanisławowi, interes był trudny, mierzalny, nawet kosztowny, z oficyalistami rosyjskimi. Książę, przejrawszy akta, rzekł do mnie: „Jedź, oddaj dobra, a bylebym ja był wolny od wszelkich do mnie pretensyi, odstępuję ci tych wszystkich remanentów na koszt, bez których się nie obejdziesz, na nagrodę twojego dla mnie poświęcenia i pamiątkę mojej wdzięczności”. Te remanenta uczyniły kilkakroć sto tysięcy. Ztąd te fundusze na kupno Bejse z przyległościami od Hieronima Sanguszki wojewody wołyńskiego. Ztąd nabycie Kołaczki, Ruszczy, Branicy i t. d., z których zebrany majątek, powiększył się taniem i szczęśliwym kupnem dóbr, drogą sprzedają zboża na złoto, a opłacaniem wydatków i podatków bankocetlami”. Jakoż dowody tego wystawił przed nasze oczy, dodając: „w miarę wpływów jakie miałem, mało zrobiłem, ale niewierzycie ile mnie kosztowały ofiary dla nieżyczliwych, dla zazdrosnych, opłaty niewiernych i zdrażliwych ludzi, niema szczęścia bez goryczy, z pomyślnością trzeba się kryć przed ludźmi”.

Gdy oddawał się na jakie parę godzin, bądź na wizytę w sąsiedztwo, bądź na objazd folwarków, czasem mnie brał z sobą, czasem zostawiał, ażebym się nie nudził oddawał mi klucz od biblioteki i archiwum, w którym stare i najważniejsze papiery złożone były. Biblioteka była obok apartamentu

syna, na drugim piętrze, wszedłszy do niej zemdłał i rzekł: „Masz francuską i polską, pierwszą nabyłem ryczałtem dla syna, drugą zbierałem dla siebie. Łubisz czytać to cię zostawię póki nie wrócę, potem pokażę ci ważniejsze rzeczy w archiwum”. W bibliotece polskiej znalazłem prawie wszystkie ważniejsze dzieła z panowania Stanisława Augusta i kilkanaście kronik i dzieł historycznych dawnych, jako to: Długosza, Kromera polskiego i łacińskiego, Bielskiego, Piaseckiego, Łubińskiego, a nawet dzieła Orzechowskiego, Górnickiego i niektórych klasyków łacińskich. Biblioteka francuska była liczniejsza, zamykała parę tysięcy książek, ale niekompletnych i niezalecających się wyborem. Gdy zapytałem go o przyczynę tej niedokładności biblioteki francuskiej, rzekł do mnie: „Ja po francusku nie umiem, kupiłem ją ryczałtem: kupiłem ją za 500 dukatów od pana N. N. jedynie dlatego, aby o mnie źle nie mówił. Patrzaj na tę spinkę, na ten pierścień brylantowy, to nie warte jak sto dukatów, dałem za nie 300 temu samemu przyjacielowi, który mnie obdarzał biblioteką. Wino niby stare, którem was czasem częstuję przy stole, pochodzi z haraczu, który na mnie nałożył. W Krakowie lepszego za mniejsze pieniądze dostanie, lecz Krakowianin, współziomek, przyjaciel, a razem surowy przestrzegacz cudzych czynów, sam tylko sobie przypisujący cnotę delikatności i nieugiętość duszy, tak sobie płacić każe”.

Gdy mnie wprowadził do swego archiwum, w którym pliki ogromne papierów i grube wolumi-

na w starożytne okładki oprawne ułożone były, tak rzadkie i nieocenione skarby znalazłem, że wyjść nie mógł z zadziwienia, pochodziły one z daru księcia Stanisława Poniatowskiego, a wpród rozrzucone były po gabinetach i archiwach króla, po składach w dobrach stołowych królów polskich. Synowcowie królewscy, księżę Stanisław i księżę Józef, nie dbali o nie, nie znali i nie cenili ich wartości i pierwszy wraz z remanentami zbożowemi odstąpił je Badeniemu. Znalazłem tam rachunki Bonara z Wieliczki, rejestra ekonomiczne przychodów i wydatków rodziny Jagiellońskiej, przemiary dóbr za Zygmunta Augusta i urzędzenia z następnych aż do Stanisława Augusta czasów. Z jego zaś gabinetów nietylko rozmaite korespondencye i bruliony listów ręką króla pisane do obcych dworów, lecz i korespondencye z partykularnymi. Znalazłem tam memoryały wszystkich prawie województw, w grube wolumina oprawne i ręką króla parafowane. Na marginesach piórem jego notowane odpowiedzi. Między niemi dostrzegłem nakreślony plan i myśli do wierszy *na Ruinę Jezuitów* i na końcu ten napis: „kochany Naruchu, dziś nakryśliłem coby można napisać na upadek twego zakonu, tak znakomitego i tak powszechnie żalowanego, jeżeli ci się myśli zdają godnymi, odziej je twoim pięknym wierszem”. Jakoż, porównawszy to tło królewskie z wierszem *na Ruinę Jezuitów*, w dziełach rymowych biskupa smoleńskiego umieszczonym, znalazłem go słowo w słowo zgodnym z rzuconą myślą królewską a tak dowiedziałem się, że rymy tylko do Naruszewicza,

myśli i obrazy do uczonego Stanisława Augusta należą. Lecz coś ważniejszego wpadło pod moje oko, kopie korespondencji Stanisława Augusta, prowadzonej z Katarzyną po ustanowieniu konstytucyi 3 maja, już nawet z naradzenia się ze strażą przez tę konstytucyą do boku królowi dodaną, w której zasiadali marszałek sejmowy Małachowski, Ignacy Potocki, Kołłątaj, Ostrowski i t. d. Czytałem minutę listu króla własną jego ręką pisaną, mazaną i poprawianą, w którym król już po wypowiedzeniu wojny przez Rosyę i zawiązanie już konfederacyi targowickiej starał się imperatorką skłonić do pojednania się z Polską i ofiarował koronę W. księciu Konstantemu. Czytałem i odpis imperatorki, w którym żaląc się na sejm r. 1788 i na targanie przez niego dawnych związków z Rosyą, dziękuje królowi za życzliwą chęć wrócenia do nich, dziękuje za ofiarę, wzywa, aby w dowód szczerości swoich oświadczeń przystąpił do konfederacyi targowickiej, a potem dopiero negocyacye będą mogły być rozpoczętymi. Odzywa się do światła króla, iż gdy zgłębi obecne położenie obydwóch państw, sam przyzna, iż coby się było dało z łatwością i korzyścią dla obydwóch narodów przy wzajemnej ufności uskuteczyć, po tem co nastąpiło na sejmie roku 1788 musi być z rozwagą i z ostrożnością badane nimby przedsięwzięte być mogło. Wiele w tem archiwum znalazłem światła do historii panowania Stanisława Augusta, wiele nabyłem nieznanych mi wiadomości.

W smutnem położeniu kraju i naszem trawi-

liśmy przyjemne chwile w Bejscach, gdy nas odezwa Stanisława ordynata Zamoyskiego, wice-prezesa rady konfederacyi generalnej do Krakowa powołała! Zdziwiło nas wezwanie i przyjechawszy udaliśmy się zaraz do p. Zamoyskiego, ten rzekł: „Musiałem otworzyć posiedzenie rady konfederacyjnej na żądanie członków tu przytomnych i naleganie p. Bignon, ministra francuskiego, wiecież w jakim celu? i o co chodzi? oto nasi młodszy koledzy podburzeni przez p. Bignon chcą i wymagają od rady konfederacyi, aby odsądziła od czci i honoru księcia Eustachego Sanguszkę, jako marszałka konfederacyi wojewódzkiego za to, że porzucił służbę i bez wzięcia urlopu lub dymisyi, oddalił się z kraju“. Książę Eustachy był blisko spokrewniony z p. Zamoyskim przez żonę, był wielkim przyjacielem Badeniego, ja i z ojca, i z siebie, i z nim, i z ojcem jego, wojewodą wołyńskim, miałem dobrą znajomość, znany był w kraju i z sejmu konstytucyjnego i z rewolucyi Kościuszki za jednego z najgorliwszych patryotów i najwaleczniejszych rycerzy. Bardzo był lubiony od księcia Józefa Poniatowskiego, młodość z sobą wspólnie przepędzili, wprawdzie ojciec jego, wojewoda wołyński, człowiek zany, pocziwy, lecz słaby nie znalazł w sobie dość mocy do odmówienia narzuconych sobie przez cesarżową Katarzynę honorów i przywdział mundur generała lejtenanta wojsk rosyjskich, co dobrego Polaka, syna jego, niezmiernie trapiło. Chcąc więc zatrzeć to wspomnienie, skoro ostatnia wojna rosyjska z Francją wybuchła i Królestwo Polskie w War-

szawie ogłoszone zostało, ksiązę Eustachy gotował się połączyć z wojskami narodowemi, skoroby te na Wołyń weszły, a gdy zmienna kolej wojny, w tej stronie kraju nie pozwoliła mu być czynnym, przekradł się do Warszawy i przystąpił do konfederacyi, pragnął ale nie mógł wejść do wojska, gdyż polskie szeregi już walczyły za Dźwiną, do czekał się więc katastrofy Moskwy cofania się wojsk francuskich i wezwania pospolitego ruszenia przez konfederacyą generalną; niebacznie zapragnął być marszałkiem którego departamentu i przez przyjaciół czynił o to starania u członków radę konfederacyi składających. Próżno mu odradzał przyjaciel jego Badeni z przyczyny już chwiejących się losów Napoleona i nadziei polskich, próżno mu wystawiał, że już niepożytecznie osobę swoją, ojca i ogromny majątek naraża na zgubę, i odejmuje sobie sposobność usłużenia krajowi w pomyślniejszych, gdyby te nadeszły, chwilach, próżno mu ksiązę Józef powróciwszy do Warszawy z niedobitkami przemarszłego wojska to samo powtórzył, w szlachetnym, lecz w mniej rozważnym zapale wytrwawszy, prosił i otrzymał nominacyę na marszałka czyli regimentarza. Ta wiadomość przeraziła gwałtownie ojca jego, księcia Hieronima, mieszkającego w Sławucie, w kraju zajęтым przez wojska rosyjskie. Obawa i zgryzota złamały go i nagle umarł. Ksiązę Eustachy, dowiedziawszy się o śmierci ojca w trudnem i bolesnem znalazł się położeniu. Z narażeniem osoby swojej, lecz ufny w protekcyę księcia Adama Czartoryskiego, będącego wtedy na Woły-

niu, bez uprzedzenia ks. Józefa Poniatowskiego, pod którego komendą marszałkowie wojewódcy poddani przez radę konfederacyi zostali, oddalił się z Warszawy i pośpieszył na Wołyń do żony i dzieci. Otóż ten krok jego równie nierozważny jak pierwszy, Bignon minister francuski uznał za szkodliwy i zabijający ducha publicznego, o który więcej dbał Napoleon w czasach nieszczęścia jak szczęścia, uważał go nawet jako szkodę przynoszący interesom Polski przez wzniesienie podejrzenia w umyśle cesarza o przychylności do jego osoby i wdzięczności narodu polskiego, które podejrzenie usprawiedliwiłaby i wzmocniła rada generalna pobłażaniem dla winnego. Temi twierdzeniami przeraził i namówił kilku młodszych członków rady do uczynienia wniosku, aby sąd na księcia Sanguszkę wyznaczony został, a gdy kara osoby nieobecnego osiągnąć nie mogła, aby w razie zapadnięcia surowego wyroku, na wizerunku jego spełnioną została. Gdy nam p. Zamoyski oświadczył ze smutkiem powody zwołania rady na posiedzenie, w naszym przekonaniu uznaliśmy wniosek niepożytecznym krajowi, a zatem szkodliwy przez niebaczne ohydzenie się przed obcymi i w tem przekonaniu zesłaliśmy się na posiedzenie. Prócz innych powodów, dotyczących się sławy naszego kraju i ocalenia honoru zacnego człowieka i dobrego Polaka, który tylko podwójnej nieroztropności stał się winnym, zrobiliśmy sobie uwagę, iż inicjatywa rzeczy nie mogła pochodzić od Napoleona, lecz jest wynalazkiem samego ministra, może w tym razie nie dość zręcznego. Napoleon

wiedział dobrze, że po proklamacyach cesarza Aleksandra, a po jego klęskach duch w sprzymierzeniach się zachwiały, wiedział, że i w Polsce różne są mniemania i niepewności, przecież w chwilach owych, w których Prusy go odstąpiły, wołał mieć utajone przed światem zachwianie się innych sprzymierzeńców jak głoszone, wołał ażeby mniemano, że Polska wierzy w jego losy i wiernie się go trzyma, jak żeby ujrzano, że i ona się chwieje. Ale część członków rady konfederackiej, natchniona przez ministra francuskiego już z umówionem zdaniem przyszła na posiedzenie i zaraz po zagajeniu sesyi przez p. Zamoyskiego, jeden z nich wystąpił z wnioskiem wykazującym konieczność sądzenia ks. Sanguszkę przez radę konfederacyi. Ci, którzy to zdanie popierali, byli pewni większości. Rada albowiem składała się z ośmiu członków i z dziewiątego sekretarza, za wnioskiem oświadczało się pięciu, przeciw niemu p. Zamoyski, Gołaszewski biskup, Badeni i ja. Naprawdę wystawialiśmy, że jak sama konfederacya zawiązana została w celu politycznym, tak aktem swoim tylko władzę polityczną złała na radę, że jeżeli przewinienie jest polityczne, rada mogłaby tylko wnieść oskarżenie lub wezwanie do rządu, aby prokuratorowi rozkazał zaskarżyć winnego przed sądem. Gdzież tu jest prokurator? gdzie sąd kryminalny? kraj cały wojskami nieprzyjacielskimi zajęty. Zechcesz rada konfederacyi przywłaszczać sobie moc sądowniczą, której sejm konfederacyi jej nie użyczył, tak, jak nie udzielił mocy rządzenia krajem. Przypuściwszy, że rada wszystkie władze w sobie jednoczy, więc sama sądzić będzie, lub sąd

wyznaczy i wskazać musi w każdym razie podług jakich praw obwiniony marszałek sądzony będzie. Nie nie wskórały nasze uwagi. Rada uważała się za wszechwładną, chociaż Badeni ze zwykłym swoim dowcipem nazywał ją tylko kapelą do grania ziomkom marsza. Już wniosek miał przejść pod głosowanie. Poseł Skórzewski członek Rady, wahał się jeszcze, jego kreska mogła była przeważać szalę na naszą stronę, gdy mnie przyszła szczęśliwa myśl aby poddać pod sąd Rady następującą uwagę: „Rada w dyskusyi obecnej uważała marszałków wojewódzkich za osoby cywilno-polityczne i jedynie podległe jej władz. Zapomnieliśmy wszyscy, że marszałkowie są osobami wojskowemi i podlegają prawom wojskowym, a gdyby nawet nie uważać ich pod tą postacią, to stali się wojskowym przepisom ulegli, skoro rada konfederacyi poddała ich pod zwierzchnią komendę wodza naczelnego wraz z całym pospolitem ruszeniem. Nie wiemy więc jakby książę Józef Poniatowski w tym wypadku postąpił sobie. Nie godzi się nam wdzierać w prawa księcia i w prawa, któreśmy na niego złąli. Coby powiedział? gdybyśmy przywłaszczając sobie jego atrybucye osądzić chcieli którego z jego generałów? Marszałkowie od czasu objęcia nad nimi komendy wodza naczelnego siły zbrojnej, są generałami i jedynie jego zwierzchności podlegają, nietylko więc porządek rzeczy wymagałaby się nie wdzierać w zwierzchność księcia, lecz sama delikatność dla jego osoby radzi, aby bez zapytania go i bez udziału jego nie nie przedsiębrać i nie zabierać się do postanowienia, jest więc moim wnioskiem”, dodałem „aby księ-

cia Józefa dla porozumienia się z nami zaprosić na jutrzejsze posiedzenie". Zamilkli wszyscy, poparli mnie pp.: Zamoyski, Badeni, Gołaszewski i Linowski znalazł wniosek słusznym i zdecydowano zaproszenie księcia. Po sesji p. Zamoyski i Badeni rzekli do mnie, „uratowaliśmy Sanguszkę i razem umiarkowanie rady”. Nazajutrz przyszedł na posiedzenie książę Józef. Z obowiązku sekretarza wygotowałem protokół wszystkich sporów i zdań. Wódz naczelny słuchał cierpliwie, nakoniec się odezwał: „Kiedy panowie z chlubną dla mnie ufnością szukacie mego zdania, powiem je otwarcie. I tak obcy aż nadto nas szkalowali i szkalują, po co się przed nimi przez własne usta ohydzać bez żadnej dla kraju korzyści. Książę Sanguszko dwa razy nierozważnym się okazał, płocho się podjął marszałkowstwa, z większą jeszcze płochością je porzucił. Wszakże mógł się od niego przyzwolicie uwolnić. Byłem jego przyjacielem, miał mój szacunek jako dobry Polak i waleczny żołnierz, ten czyn jego rozłącza nas na zawsze. Jeżeli panowie chcecie przyjąć moje zdanie, przestaniecie na tem, abym ja jako jego zwierzchnik dał mu dymisją, a dam mu ją w sposób taki, że stanie się dla niego dostateczną karą. Kopię jej prześlę radzie”. Gdy Linowski i Skórzewski przystali na zdanie księcia inni *non tam libenter quam reverenter* zgodzić się musieli, i tak się uspokoiła ta burza grożąca zniesławieniem zacnego człowieka, dobrego Polaka, który jeszcze mógł być sprawie krajowej użytecznym, a który tylko stał się winnym niebaczności na porządek służby.

Kraków był podówczas stolicą małego obrębu Polski, do którego się wojsko, rząd, konfederacya i wszyscy prawie dobrzy obywatele schronili. A tak Polska miała dwie stolice i dwa rządy. W Warszawie władał rząd tymczasowy polsko-rosyjski, przez cesarza Aleksandra ustanowiony. W Krakowie rząd polski kierowany i strzeżony przez ministra francuskiego Bignona. A tak rozdzielony kraj między dwóch walczących z sobą opiekunów chwiać się w duchu zaczął, którego z nich losom i oświadczeniom ufać, od którego zbawienia się spodziewać.

Znał to minister francuski; żeby więc odwrócić umysły od badania i zastanawiania się nad swoim położeniem, wymyślał rozmaite zabawy, uczty, tańce dla mieszkańców, zachęcał do dawania i zapraszania na nie, możniejsze domy naglił, aby ożywiały ruch towarzyski, a tak przez trzy miesiące, w których wojska polskie zbroiły się w Krakowie, stolica ta w smutnem położeniu kraju przedstawiała najszcześliwszą i najweselszą postać. Codzień obiady, szlichtady, kawalkady, wieczory, bale; co wszystko na umysłach poważniejszych bolesnem uczuciem odbijało przy widoku z wałów czatów i spis kozackich, prawie o milę od Krakowa dostrzeganych, przy widoku niedostatku kas publicznych, nędzy prostych żołnierzy, nieporządku i nieładu w szpitalach, z których po nocach trupów wywożono i gubiono po drodze, tak, iż zdarzyło się, że tancerze powracający z balów w nocy po ciemnych ulicach potykali się na nich. Nie można było żadnemi uwagami i przestrogią wstrzymać niepojętego szału tej ginącej Jerozolimy, głos rozsądku zagłuszało

mnóstwo młodych, urodziwych, strojnych oficerów, niepewnych dnia jutrzejszego, a więc chcących dzień dzisiejszy wesoło przeżyć. Podbudzała do tej wesołości wielka liczba pięknych, dobrze wychowanych, córek, wnuczek, wychowanic poważnych i pobożnych matron, które wciągnięte w ten wir przez młodzież, przesadzały się w domach swoich na te zabawy, w których brali udział najpoważniejsi mężowie i urzędnicy, dla przypodobania się ministrowi francuskiemu, i dla durzenia ziomków swoją wesołością. Na jednym z wieczorów tańczących u Małachowskiej wojewodziny krakowskiej, widziałem pana Stanisława Potockiego, prezesa Rady ministrów już wtedy starca, skaczącego w kadrylu. Wyznać muszę, iż jeden dom państwa Zamoyskich, chociaż się udzielał nie mogącym być uniklionemi zabawom, u siebie żadnych nie dawał. Jakoż nikt mniej, jak pani Zamoyska nie miała się z czego cieszyć. Dobra Polka już ona za swoje przywiązanie do ojczyzny miała sobie wzbroniony wraz z mężem wstęp do Galicyi, która była dla Polaków jedynem schronieniem od oręża rosyjskiego w obecnej chwili. Ojciec i mąż przewodniczyli w sprawie wspieranej przez cesarza Napoleona, brat zasiadał w Warszawie i prowadził sprawę pod opieką cesarza Aleksandra. Nie wszyscy więc dzielili to krakowskie odurzenie, szczególnie gorzzył się niem Badeni i generał Kniaziewicz. Pierwszy wyrzucał w poufnych rozmowach matronom krakowskim zapomnienie o losach obecnych Polski, ale napróżno, drugi głośno utyskiwał. Raz, wpośród smutnej z tego powodu rozmowy, Badeni odezwał się do mnie: „Jest tu

was kilku literatów i pisarzów, którzy wojujecie piórem i wiersze piszecie, ruszacie ramionami na te szaleństwa i milczycie, gdyby tu był Molski, nie puściłby płazem tego zgorzenia, które charakter nasz narodowy na szyderstwo obcych wystawia, bo pewny jestem, że śmieją się z tych zabaw ci sami, którzy do nich zachęcają”. Kniaziewicz z większem jeszcze oburzeniem przemówił i naglił, abym kilka wierszy rzucił *sub ignoto*. „Ale to się nie utai—rzekłem—i ja sekretarz konfederacyi napoleońskiej, wystawię się na naganę i może prześladowanie”. „Zmiłuj się—odrzekł—ja sam je rozrucę i utaję”. Napisałem więc w duchu satyrycznym kilkanaście wierszy pod tytułem: *Na tańczący Kraków*, przyniosłem i oddałem generałowi Kniaziewiczowi, on je zapieczętował w list i kazał sobie lokajowi, jakby z poczty warszawskiej oddać, gdyż ja dla odwrócenia posądzeń tok wiersza Molskiego przybrałem. Lokaj oddał list Kniaziewiczowi w przytomności kilku osób. Generał wiersze przeczytał, pozwolił rozpisać kopie, sam je rozdawał i tak rozbiegły się po mieście. Dopiero się wszczął hałas, wrzawa, gniewy. Szukano w myśli autora, gubiono się w domysłach, przecież z toku wiersza nikt nie wpadł na mnie. Ileż nie zrobiono fałszywych wniosków, przygan, najdziwniejszych zastosowań do osób, podburzono nawet księcia Józefa tym wierszem:

Było komu kraj niszczyć, nie ma komu bronić.

Co się odnosiło nie do wojska polskiego, lecz do sprzymierzonych Sasów i innych Niemców. Rozdrażnione kobiety stosując niektóre wyrazy do

tych, których dotknąć autor nie myślał, podburzyły młodzież. Otóż mnóstwo wierszopisów krakowskich wystąpiło z satyrami, z odpowiedziami, z przyganami. Najśmieszniejsze były te, które rozwinęły całą erudycję o początku tańców, o wziętości ich u wszystkich narodów, leciały wiersze, wierszydła, jak grad; tańce wprawdzie ustały, ale zaczęła się polemika wierszowa, dopiero Franciszek Morawski, jędrnym i tęgim wierszem ją zgromił i do milczenia przymusił. Z czytelników moich wierszy, jeden minister Mostowski domyślał się autora, gdy przyszedłem do niego, zapytał mnie: „czy czytałem wiersze na tańczący Kraków”? Zacząłem ganić i wiersze i zamiar, mogący obrazić Francuzów.

„A wiesz, kto je pisał—zapytał mnie—ja wiem, albo Molski, albo ty”? Gdy się wypierałem, prosząc aby mnie swoim domysłem nie wystawił na prześladowanie, i twierdziłem, że tok wiersza jest przeciwny memu, rzekł: „Kto się chce ukryć, nie trudno mu cudzy wiersz naśladować, lecz bądź spokojny, sekret zginie między nami”. W kilka lat potem gdy mieszkałem w Warszawie, dowiedziałem się, że jeden z wierszopisów warszawskich przyznał się do tego wiersza, i wtedy dopiero odkryłem ich autora przed Morawskim.

Wracam do Badeniego. Mąż ten prawy, eno-
tliwy, oświecony, rozumny, dowcipny, miły w towarzystwie, acz nieuczony, bo znał tylko historię swego narodu i literaturę ojczystą, używał w całej zupełności powszechnego i zasłużonego poważania i wziętości, wszyscy szukali jego przyjaźni, co szczególniejsza, wszyscy najuczucijsi w kraju ludzie ubie-

gali się o związki z nim poufale i ściśle. Czacki, Sniadecki, Karpiński, wszyscy nauczyciele akademii krakowskiej utrzymywali z nim stosunki. Znaczeniem swoim u dworu i u możnych wielu pomagał. Karpiński jemu był winien, że w wiosce królewskiej dożywociem sobie nadanej, mógł w spokojnej starości w lutnię trącać. Mało było w kraju wielkich sporów między prywatnymi, żeby do nich na rozjemcę wezwany nie był. Wieluż testamentów nie był egzekutorem? Zgromadzenia u niego odznaczały się wyborem oświeconych i prawych osób, obiady niewielkie, na które co tydzień poufałych przyjaciół spraszał, ożywiane były to rozmowami o sprawach krajowych, w których żywe spory najczęściej z sobą toczyli Staszic i Linowski, to potocznymi literackimi i naukowymi rozprawami prowadzonymi przez Niemcewicza, Osińskiego, Tarnowskiego, Sierakowskiego. Najprzyjemniejszą zaprawą tych uczt były: dowcip, uprzejmość, wesołość gospodarza, który umiał zręcznie i delikatnie drażnić z sobą politycznych i literackich atletów. Niektóra młodzież celniejsza w kraju wzywana na te obiady wiele czerpała wiadomości i nauki, i lepiej się kształciła, jak po biurach rządowych.

Chociaż Badeni już lat 70 dochodził był silnego zdrowia, humor jego wesoły świadczył o niem. Nie lubił ludzi smutnych i tetryków. Raz przy mnie widząc przyjaciela doktora Szastra smutnym i posępnym, bo był cierpiącym, rzekł do niego: „Naśladuj mnie, bądź wesołym a będziesz zdrowym”. Odrzekł mu Szaster: „Bądź zdrow a będziesz wesołym”. Mimo atoli silnego zdrowia i utrzymywania

się nader skromnego w jedzeniu i w piciu, raz na pokojach cesarskich dostał uderzenia krwi do głowy i zawrotu, zatoczył się i o ledwie nie upadł, zaprowadzony przez nas do domu przyszedł do siebie, i jeszcze potem lat kilka zdrowia używał, i podejmował z gorliwością publiczne posługi. Kolejną prezes delegacyi administracyjnej, zastępca ministra skarbu po usunięciu się Matusiewicza, zwrócił na siebie szczególne względy cesarza Aleksandra za nagromadzenie funduszków skarbowych. Namiestnik Zajączek niezmiernie go szacował i smakował w jego towarzystwie, a nawet rady jego z ufnością przyjmował. Kiedy po śmierci ministra sprawiedliwości Franciszka Węgleńskiego zachodziła trudność w wyborze osoby na ten urząd, namiestnik, który nienawdził prawników, którymi komisya sprawiedliwości obsadzoną była, nadszpiewanie powziął zamiar dania jej za przewodnika człowieka prawego i zdrowym rozsądkiem prowadzącego się całe życie. Wymawiał się Badeni nieumiejętnością prawa, lecz namiestnik użył wszystkich sposobów skłonięcia go. „Właśnie—rzekł do niego—potrzebujemy do tej komisyi człowieka ze zdrowym rozsądkiem, prawością i z jasnym objęciem do prowadzenia ludzi, których nauka wykrętami przeciwnemi sprawiedliwości obłąkuje, a ty właśnie masz ten przymiot”.

Podjął się Badeni i godnie odpowiedział nowemu powołaniu; zaufał między członkami komisyi sprawiedliwości najwięcej Woźnickiemu, radcy, ten zacny, oświecony i dobrze uczony w prawach urzędnik ocenił rozsądek, chęci i prawość swego przewodnika i wspierał go radą. W twardych wypad-

kach, gdy całe prawnicтво nie przeciw sile monejszej władzy nie pomogło, trafność rozsądku Badeniego zasłaniała tę komisję od nieprzyjemności.

Razu jednego wielki książę rozkazał przywieść przed siebie posła Wincentego Niemojewskiego, który nie zastosował się do wydanych, ubliżających członkowi sejmu rozkazów. Rząd lękał się, aby go wielki książę nie kazał osadzić w więzieniu po audyencyi, minister sprawiedliwości przedstawił go wobec innych ministrów. Gdy przyszedł do ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego z zapytaniem, co się stało z Niemojewskim, ten mi odpowiedział: „Co to jest prosty i trafny rozsądek, dziś winniśmy kilku słowom Badeniego zapobieżenie gwałtowi, który miał być zadany konstytucyi, i oszczędzenie nam najprzykrzejszego położenia, prawdziwie cudu dziś na umyśle wielkiego księcia dokazał”. Badeni razu jednego, w nocy słysząc hałas na ulicy, wstał i, otworzyszy szybę od okna wyjrzał; w kilka godzin dostał nieznośnego bólu głowy. Za użyciem środków lekarskich ta głowa złała się jakąś skorupiastą materją, tak, iż musiał ją jedwabną czapeczką przykrywać; ta nieprzyjemność sprzykrzyła mu się i wezwał doktora Kindzla. Za użyciem przez niego środków głowa się wyluszczyła, lecz humory czy materja uderzyła na żołądek, stracił apetyt, dostał małej gorączki i słabnąć zaczął; w kilkanaście dni uczył w nocy drętwienie nogi lewej i ręki, następnie objawił się paraliż i już z łóżka nie wstał; gasł powoli przez kilkanaście dni z zupełną przytomnością umysłu, rozmawiając z rodziną i z obecnymi przyjaciółmi. Sta-

lem przy jego łóżku w nogach, przypatrując się ze smutkiem spokojnej, lecz już śmiertelną bladością powleczonej twarzy jego, gdy rzekł do mnie z uśmiechem: „Cóż ty siwoszu dumasz nad swoim przyjacielem” — wyciągnął do mnie rękę, ucałowałem ją; tej nocy skonał na rękę córki Konstantowej Popielowej, którą nadzwyczaj kochał i która go pielęgnowała w słabości. Na żądanie rodziny acz uciśniony boleścią zrobiłem gwałt memu żalowi i przy wyprowadzeniu zwłok jego przemówiłem do zgromadzonej publiczności. Przesłałem mowę moją Janowi Śniadeckiemu, odpisał mi, zachęcając, abym się zatrudnił zebraniem jego przysłówiów, jego dowcipnych spostrzeżeń ucinkowych, a zawsze trafnych i pełnych nauki dla młodszych, oryginalnych wyrażeń; rozrzucone po pamięci całej powszechności, przy pomocy tylko wielu osób, które go zapamiętują, mogłyby razem być zebrane. Syn tego nieodżałowanego męża obdarzył mnie jego wizerunkiem sztychowanym, a zdjętym z jego portretu w młodszym wprawdzie wieku odmalowanego, lecz nader co do rysów twarzy i charakteru podobnego. Mam go zawsze przed sobą na mojej ścianie, i umieściłem pod nim następujący napis:

Prawy, czynny, gorliwy w całym życia wątku,
 Ziomek przysłowiem zrobił dar jego rozsądku,
 Świat był dla niego szkołą, ludzie księgozbiorem,
 I bez imienia mędrca stał się mędreów wzorem.

Syn wznosił mu piękny nagrobek w kościele w Bejscach. Słuszny ten i wykształcony człowiek, wiedząc dobrze, w jakiej przyjaźni żyłem z ojcem,

że byłem powiernikiem wszystkich jego najskrytszych myśli, a nawet trosk domowych, odwiedzał mnie po kilkakrotnie w mojem zaciszu wiejskiem i nagadać się ze mną nie mógł o nieodżałowanym ojcu. Mnie on osądził najzdolniejszym do dania napisu na nagrobek i razem pomnik pobożności synowskiej; skreśliłem go przyjazną ręką; a razem z najściślejszą prawdą.

Rządkowski i Grabowski obaj doskonali, biegli prawnicy w ustawach dawnej Polski, byli arcyużytecznymi w sądzie kasacyjnym, do którego, jak wyżej rzekłem, przychodziły sprawy z dawnej Rzeczypospolitej polskiej, i według opisu tych praw sądzone być musiały; praktycznie i jednakowo uczeni, żyli z sobą w ścisłej przyjaźni. Suknią narodową byli sobie podobni, charakterem i reputacją nieco się różnili. Rządkowski nieco przebiegły, czasem był stronny dla spraw przyjacielskich *moribus antiquis*; jak to pod księciem Józefem w sprawie Szymanowskiej rejentowej koronnej opisałem. Grabowski prawy, sprawiedliwy, religijny i aż do łęklivosti sumienny, żadnym względem światowym nigdy się ująć nie dał, a do tych cnót wielkie doświadczenie i znajomość wybiegów prawniczych łączył. Ztąd z wielką troskliwością nietylko spraw słuchał, lecz, nie ufając wystawieniom obrońców, nie dał zdania, póki pism prawników ze złożonemi dowodami pilnem okiem nie sprawdził. Nieugięty w swoim przekonaniu nieraz sąd kasacyjny od popelnienia skwapliwości lub ufności błędu lub niesprawiedliwości zwrócił. Zdarzyło się nieraz, że gdy już sąd ten zabierał się po wnioskach proku-

ratora do wotowania, Grabowski jeszcze dokumenta czytał, wzywany od zniecierpliwionych członków do dania kreski, odpowiadał: „Ja nie dam zdania, póki się z dokumentów nie przekonam”. Przekonawszy się na drogę sprawiedliwości często sąd naprowadził, nieraz wykrył fałszywe wystawienie rzeczy przez obrońców, i niedbałość w sprawdzaniu dowodów przez prokuratora. Opowiadał mi sam wypadek tego rodzaju, który się wydarzył w trybunale lubelskim, za czasów dawnej Polski, a w którym on, jako deputat województwa lubelskiego zasiadał.

Toczyła się sprawa wielką forszą między jednym magnatem przemożnym, a biednym jednowioskowym szlachcicem. Grono sędziów składało się po wielkiej części z jurgieltowanych przez tego magnata sędziów wybranych z województw ruskich, w których leżały dobra magnata, i innych z Wielkopolski i z Małopolski ujmowanych ucztami i datkami; ledwie kilku znalazło się ludzi nieskażonych i niepodległych, ci łatwo przewidywali znaczną za magnatem większość. Grabowski z dawnej swej mecenatury przypomniał sobie tę sprawę, gdyż był w niej obrońcą ubogiego szlachcica, i spostrzegł, że ten źle był broniony przez swego, niebardzo zdatnego adwokata, gdyż lepsi wszyscy byli zajęci przez możnego pana, a tu chodziło o drugi zgodny dekret, od którego już *nulla redemptio*. Po skończonych induktach na ustępie, gdy po krótkiej dyskusyi już się zabierać miano do wotowania, Grabowski czytał jeszcze papiery. Zniecierpliwiony trybunał, śpiesząc się na obiad, który właśnie dawał magnat i nagłony przez Achatesów jego do głoso-

wania, aby mu przed obiadem dobrą wiadomością o wygranym procesie strawniejszem jedzenie uczynić, zaczął się brać do głosowania. Próżny był opór tych, którzy radzili na kreskę Grabowskiego poczekać, zaczęto wołać na niego: „Niech pan lubelski porzuci czytanie i zdanie swoje powie, gdyż będziemy bez niego wotować”. „To jest sprawa dawna, ważna, zawikłana—odparł Grabowski—potrzebuję dłuższego czasu dla powzięcia przekonania, proszę wotowanie odłożyć na popołudniową sesję”. Zawołano: „panie marszałku, prosimy o kreski”. Jakoż biedny szlachcic, znaczną większością głosów, najlepszą sprawę przegrał; lecz Grabowski do wotowania nie należał, nawet na obiad nie poszedł z sali sądowej i papiery czytał. Gdy się trybunał na poobiednią sesję zgromadzać zaczął, Grabowski się odezwał: „Przeczytałem papiery i przekonałem się, że macie na sumieniu biednego szlachcica, którego wasz wyrok niesprawiedliwy obrał najniesłuszniej z majątku”, i wytłómaczył im całą sprawę, oraz widocznymi dowodami poparł. Trybunał, zawstydzony się swojej skwapliwości, przedsięwziął wnieść na posiedzenie, że gdy wyrok przeczytany i ogłoszony nie był, należy po wytłómaczeniu sprawy przez deputata lubelskiego do nowego wotowania przystąpić; lecz w takim razie według praw organicznych sądownictwa jeden członek przeciwny mógł zatamować rzecz. Jakoż znalazł się śmiały jurgieltnik, co stanąwszy opornie *circum latam sententiam* niedopuszczył zmiany wyroku, i wyrządzona niesprawiedliwość w swojej mocy została.

Wiem jeszcze o jednym jego czynie, malującym

prawość, nieskazitelność jego sumienia. Będąc mecenasem miał w swojej obronie sprawę podobnie ubogiego szlachcica. Sprawa zdawała się jeszcze odległą, kilkanaście ją innych poprzedzało, mógł więc śmiało oddalić się na parę dni z Lublina. Trojskliwy jednak, żeby przez jakiś nadzwyczajny przypadek sprawa nie przypadła w czasie jego nieobecności, polecił ją nietylko jednemu z najzdolniejszych dependentów, lecz uprosił jednego z mecenasów, aby go wyręczył, prócz tego w każdym razie kazał sobie sztafetą dać znać, gdyby sprawa blisko przywołaną być miała. Odjechał albowiem o sześć mil od Lublina. Właśnie nad wszelkie oczekiwanie sprawa się przesunęła, sztafeta dla spadłych wielkich śniegów spóźniła się, on, przemieniając konie, chociaż pojazd porzucił i jak kuryer przedzierał się przez zasy py konno, już na czas nie podążył i szlachcic, mimo przyzwoitej obrony, bo sprawa była wątpliwa, przegrał. Grabowski zgryzł się tym wypadkiem i dręczył się, chociaż sumienie żadnego mu wyrzutu czynić nie mogło, jednak, zachorowawszy później, gdy testament pisał, przegraną przez szlachcica sumę, kilkanaście tysięcy wynoszącą, z swego majątku zapłacić mu kazał, jakoż, wróciwszy potem do zdrowia, sam się z niej uścił. Mało jest, a może wcale nie ma prawników z tak delikatnem sumieniem.

Żył on z Badenim w ścisłej przyjaźni, równi sobie w prawości, równie byli umartwionymi w małżeńskim pożyciu. Znosili oni ciężkie utrapienia życia. Grabowski przez religią aż do śmierci ulegał swemu małżeńskiemu przeznaczeniu. Badeni majątniejszy i mniej cierpliwy okupił się od współ-

nego mieszkania udziałem znacznej pensyi, jednak nie uwolnił się od wizyt małżonki. Raz wychodząc z Rady stanu późno i uchybiwszy obiadu, na który był zaproszony, rzekł do Grabowskiego: „Dziś jestem bez obiadu, trzeba gdzieś go w traktyerni poszukać”. Grabowski więc zaprosił go na obiad do siebie, z którym go żona jego czekała. Przybyli więc oba do pani Grabowskiej, nieuprzedzonej, że jedna osoba więcej siądzie do stołu, za co biedny Grabowski przez cały czas znosić musiał wymówki i łajania. Gdy się obiad skończył gospodarz, wzięwszy gości na bok, przeproszał go i tłumaczył zły humor żony, Badeni odpowiedział mu z uśmiechem: „Oddane to rzeczy, jak moja żona przyjedzie, zaproszę cię na obiad i z lichwą ci odplacę”.

KONIEC CZĘŚCI PIĄTEJ.

№ Inw. 229.



10072 /
1